Nr. 231. Lwów — Wtorek dnia 11 Października. Rok 1898.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „
Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne" o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 ct. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy . . .

Nadesłane na trzeciej stronicy: . . . Nekrologia . . .

Ogłoszenia do Przeglądu przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika l. 9.

Ogłoszenia nad przeglądem politycznym 50 ct. od wiersza.

Dziś: św. Placydy M. | Kyriaka
Jutro: św. Maksymiliana | Hryhoria Wel.

Adres Redakcyi i Administracyi Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: *LUDWIK MASŁOWSKI.*

Wschód słońca o g. 6 m. 19, Zachód „ 5 „ 12

Długość dnia g. 10 m. 53. Ubyło dnia od wczoraj 3 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 10 października.

O niezmiernie dziwnej, wręcz niemożliwej „sprawie kowieńskiej" hałaśliwie bębnią liczne dzienniki rosyjskie *Swiet*, *Giełdowe Wiedomości*, *Moskiewskie Wiedomości* i t. d. Tę „sprawę" przedstawiają one tak widocznie tendencyjnie, że w ich opowiadaniach trudno doszukać się prawdy. Ale o tym wypadku kowieńskim, który się stał 3 bm., nie mamy dotychczas bezstronnych doniesień, więc zanim one nadejdą, musimy zadowolić się relacyami tych pism rosyjskich, zaznaczywszy z góry niewzruszone przekonanie, że ponieważ teraz prasa rosyjska nieznużenie dowodzi konieczności silnej państwowej kontroli nad seminaryami rzymsko-katolickiemi, nad duchowieństwem naszem i nawet takiej zmiany kościelnych stosunków, aby biskupów wprost mianowała lub usuwała władza administracyjna, przeto ową „sprawę kowieńską" umyślnie tak przedstawiono i oświetlono, aby dowodziła słuszności takiej kurateli nad duchowieństwem. Oto jest powieść dzienników rosyjskich.

„W Kownie — wzburzenie. Tłumy dewotek i pospólstwa snują się po ulicach, otaczają więzienie, złorzeczą władzy, przeklinają „Moskali", czasami zachowują się tak groźnie, że trzeba było otoczyć wojskiem więzienie i budynki rządowe. Służba katolicka porzuciła swe stanowiska w rodzinach prawosławnych. Rosyanin nie może pokazać się na ulicy, bo z pewnością byłby znieważony, może rozszarpany przez fanatyczne pospólstwo. Władza zachowuje rezerwę, aby nie drażnić... Słowem, powstał jakiś dziwny chaos, awanturnicy hałasują, a przedstawiciele porządku chyba potracili głowy. Cóż to się stało?

„Oto, aresztowano i osadzono w więzieniu wikaryusza przy kościele Św. Krzyża, ks. Bielakiewicza, ulubieńca fanatyków łacińskich i dewotek. Tłum chce go odbić... już się sposobił do tego raz w nocy, gdy tego księdza niespodziewanie zaaresztowano w domu, drugi raz, gdy w kościele robiono rewizyę, i trzeci raz, kiedy księdza odwieziono do więzienia. Trybunał sądowy tak się przeraził, że uchwalił wypuścić księdza za kaucyą 5 tysięcy rubli. Ta kwota natychmiast była złożona — zebrano ją na ulicy. Trybunał zażądał jeszcze poręczycieli, że wypuszczony ksiądz nie ucieknie: — wnet zgłosiło się mnóstwo osób, chcących wziąć księdza na porękę. Już on miał być wypuszczony, ale prokurator założył stanowczy protest, władza się ocknęła i tak ksiądz-zbrodniarz został w więzieniu.

„O licznych zbrodniach jego tak się dowiedziano: Dnia 2 października zgłosiła się mieszczka Ewa Bernatowiczowa — zbita, pokrwawiona, w podartem ubraniu — do kancelaryi policyjnego urzędnika Awdiejewa i opowiedziała mu, że 27 sierpnia przyjechał do niej z dwoma zakrystyanami ksiądz Bielakiewicz, zgromił ją za to, że daje mieszkanie i wikt chłopce Żukowskiej, utrzymującej nieprawy stosunek z prawosławnym, a potem przemocą posadził tę Bernatowiczową na dorożkę i zawiózł do kościoła, gdzie za ołtarzem otworzył ukryte drzwi do podziemi i tam ją wtrącił. Po jakimś czasie przyszedł do niej, zdarł z niej ubranie i harapem o trzech końcach osmagał ją tak, że krew się lała. Powtarzał to kilka razy na dzień. W tem podziemiu były narzędzia tortury, któremi ksiądz straszył uwięzioną; były otwarte groby, kościotrupy, które czasami oświetlały się w jakiś zagadkowy sposób, był dyabeł — szkielet ludzki z głową potwora, ziejącą ogniem, skrami i dymem, był anioł — biały, skrzydlaty — który radził uwięzionej żałować za grzech pobłażania związkowi katoliczki z prawosławnym. Kiedy w kościele odbywało się nabożeństwo, wyprowadzano Bernatowiczową z podziemia, kazano jej leżeć krzyżem na środku świątyni, a wtedy lud potrącał ją nogami, plwał na nią, złorzeczył jej. Po nabożeństwie znowu wtrącano ją do podziemia. Nareszcie po kilku dniach takiej męki ks. Bielakiewicz kazał zakrystyanom uwolnić Bernatowiczową, a na jej miejsce przywieźć Żukowską. Rozkaz ten spełniono. Otóż Bernatowiczowa prosiła urzędnika Awdiejewa, aby ratował Żukowską, bo ona niechybnie będzie zamęczona w lochu, jak zamęczono tam wielu innych, których szkielety tam leżą.

„Awdiejew zaraz doniósł o tym wypadku naczelnikowi dzielnicy Erasowowi, ten zaś złożył raport policmajstrowi Karomalinowi i prokuratorowi Chołszczewnikowowi. Wszystkim im nie chciało się wierzyć, aby Bernatowiczowa mówiła prawdę, sądzili, że postradała rozum, bo chociaż zdawna krążyły głuche wieści, iż fanatyczni księża torturują ludzi, utrzymujących jakikolwiek stosunek z prawosławnymi, jednakże nikomu w głowie nie mogło się pomieścić, żeby w gubernialnem mieście, będącem zarazem pierwszorzędną twierdzą, a więc tam, gdzie tyle przedstawicieli władzy, mogły się dziać podobne zbrodnie. A jednak się działy! I o tem wiedział proboszcz ks. Kernowski, wiedział nawet ks. biskup Pallulion! Czy to nie dowód, że władza rządowa powinna roztoczyć ścisły nadzór nad duchowieństwem katolickiem?

„Wezwani lekarze orzekli, że Bernatowiczowa jest przy zdrowych zmysłach. Wówczas postanowiono aresztować ks. Bielakiewicza. Władza policyjna przybyła doń o 11-tej w nocy. Ksiądz z początku strasznie się przeraził, ale po jakimś czasie przyszedł do siebie i przyznał się, że istotnie wyznaczył pokutę Żukowskiej za rozwiązłe życie: za jej zgodą zamknął ją w składzie kościelnych sprzętów. Po uwięzieniu księdza pojechano bez zwłoki do kościoła. Tam rzeczywiście, w małym budyneczku bocznym, w którym zwykle są chowane lichtarze i części katafalku, znaleziono Żukowską, która z przerażeniem, chowając się w kąt i drżąc, patrzała na wchodzącego ks. Bielakiewicza, a wydała okrzyk szalonej radości, gdy za nim ujrzała mundury urzędników rosyjskich. Przyskoczyła do nich i jęła opowiadać, jak ją torturowano, jak ksiądz jej mówił: „Miej sobie choć siedmiu kochanków, byle nie Moskali", jak ją tu głodzono, jakie strachy ją obstępowały i t. d.

„Uwolniwszy Żukowską, komisya udała się do podziemi. Panował tam straszny nieład; stare, rozbite trumny leżały na ziemi, było trochę kości, był jeden szkielet i była olbrzymia drewniana głowa, tak potworna, że mogła uchodzić za dyabelską, ale nie znaleziono narzędzi tortur, ani tej maszyny, która udawała anioła. Widocznie Polacy potrafili to wszystko uprzątnąć, a że robili to prędko, więc był w podziemiu nieład. Nie zdołali jednak sprzątnąć kości ludzkich, jest więc dowód, że tu ginęli ludzie, torturowani przez fanatycznych księży za stosunki z prawosławnymi. Księdza Bielakiewicza zaraz po rewizyi w kościele odwieziono do więzienia, a z rana, gdy o tem miasto się dowiedziało, pospólstwo, rozjątrzone przez dewotki i księży, zaczęło się burzyć. Był zamiar odbicia księdza Bielakiewicza i wywiezienia go za granicę, aby w ten sposób uniemożliwić śledztwo. Ale władza ma się na baczności. Śledztwo i sąd wszystko wyjaśnią".

Oto jest wiernie powtórzona opowieść rosyjskich dzienników. Od siebie dodamy, że gorąco pragniemy, aby śledztwo i sąd rzeczywiście a uczciwie wyjaśniły tę sprawę. Nam się ona przedstawia tak, że nie widzimy niczyjej zbrodni — chyba tych dwóch kobiet, jeżeli one zeznawały i zachowywały się tak, jak podają rosyjskie dzienniki. Trumny i kości w podziemiu kościelnem znajdują wszędzie, gdzie są te podziemia, bo dawniej w nich chowano nieboszczyków. Leżenie krzyżem w kościele jest pokutą bardzo często zadawaną na Litwie, ale nikt tam takich pokutników nie znieważa, owszem, mnóstwo pobożnych otacza ich i modli się z nimi — za nich. Wreszcie kara zamykania się do dzwonicy — bo w niej zwykle chowane są części katafalku, godła śmierci i t. d. — bywała na Litwie przed 63-cim bardzo często używana; prosili o nią ci, którzy się czuli wielkimi grzesznikami. Jak jest teraz, nie wiemy, ale pewnie nie inaczej, przynajmniej na świętej Żmudzi, gdzie religijność ogromna.

Sądzimy, że kara za rozwiązłe życie jednej kobiety, a za utrzymywanie przytułku rozpusty przez kobietę drugą — kara przyjęta przez nie na spowiedzi posłużyła tym, którzy nastają na swobodę ruchów duchowieństwa katolickiego, do zbudowania takiej kryminalnej historyi. A jeżeli tak, to interes polityczny czynowników pokieruje sprawą — nie na korzyść prawdy i sprawiedliwości.

Onegdaj złożyli hołd Papieżowi pielgrzymi francuscy. Przybyli oni do Rzymu w bardzo wielkiej liczbie, reprezentowali wszystkie warstwy społeczne, a najliczniej robotników. Zorganizował tę pielgrzymkę znany wielki przemysłowiec Harmel, który oddawna rozwija we Francyi obfitą w błogie owoce działalność na polu chrześcijańsko-socyalnem. W wielkiej sali audyencyonalnej przyjął pielgrzymów Papież w otoczeniu kardynałów. Przywódca pielgrzymki w przemowie do Ojca św. wyraził głęboką wdzięczność za potwierdzenie protektoratu Francyi nad Ziemią św. Odpowiedź papieską, zredagowaną w języku francuskim, odczytał ks. prałat Ducroy. W allokucyi tej podnosi Ojciec św., że potwierdzając tradycyjny protektorat Francyi nad chrześcijanami na Wschodzie, pamiętał o wielkich zasługach, położonych na Ziemi św. przez męczenników francuskich, oraz zachęca wiernych, aby, o ile im tylko stosunki na to pozwalają, odbywali pielgrzymki do tej Ziemi, w której Zbawiciel żył, działał i cierpiał za ludzkość; w końcu Ojciec św. wzywa Francuzów, aby demokracyę swą oparli na religii chrześcijańskiej, albowiem wtedy zapewni ona Francyi spokój i szczęście; jeżeli jednak demokracya francuska odda się w ręce rewolucyjnego socyalizmu, to wyniknąć stąd musi nędza, niewola i upadek nawet klas pracujących. — Allokucyę tę przyjęli zebrani pielgrzymi grzmiącymi okrzykami na cześć Ojca św.

Sprostowanie.

Piszą nam z Wiednia, 8 października.

W artykule wstępnym dzisiejszego (230) numeru *Czasu*, który zresztą dochodzi do słusznych konkluzyi o niewłaściwości kramarskich targów o głosy na tle ugody z Węgrami, znajduje się zdanie błędne, które w interesie prawdy historycznej wymaga koniecznie sprostowania. Brzmi ono:

„Utrzymanie rozporządzeń językowych „(dla Czech i Morawii) w mocy zapisanem „zostało w adresie większości i w „programie gabinetowym" itd.

Twierdzenie to sprzeciwia się prawdzie. Projekt adresu hr. Dzieduszyckiego został ogłoszony 14 maja roku zeszłego. *Czas* zamieścił go na czele swego numeru 110-go z 15 maja r. z. Otóż adres ten ani słowem nie wspomina o rozporządzeniach językowych. Gdyby zaś ktokolwiek chciał tłómaczyć to milczenie jako przypadkowe, przeczą temu uwagi, które referent hr. Wojciech Dzieduszycki wygłosił na posiedzeniu komisyi adresowej 21 maja r. z. hr. Dzieduszycki bowiem wtedy oświadczył:

„Nie dotknąłem w adresie kwestyi języ„kowej, ponieważ nie chciałem go przenosić „na pole sejmów prazkiego i berneńskiego; „kwestye językowe powinny być uporządko„wane w sejmach krajowych."

Z zasadniczych więc, autonomistycznych powodów hr. Dzieduszycki nie wspomniał wcale w adresie o rozporządzeniach językowych. Pośrednio nawet z przytoczonych słów hrabiego możnaby się doczytać nagany dla owych rozporządzeń, skoro one kwestyę językową, która według zasad autonomicznych należy przed forum sejmów krajowych, rozwiązują za pomocą dekretu ministeryalnego.

Chociażby zresztą autor projektu adresu, przezwyciężając swe skrupuły autonomiczne, był okazał gotowość umieszczenia w adresie ustępu o rozporządzeniach językowych, byłoby temu przeszkodziło — katolickie stronnictwo ludowe. Stronnictwo to, bez którego wiedzy zostały ogłoszone rozporządzenia językowe, nie byłoby nigdy przystało na „zapisanie ich utrzymania w mocy" w adresie, za którym miało głosować (choć do głosowania w Izbie nie przyszło).

Tak np. ówczesny przywódca tego stronnictwa, a dzisiejszy minister handlu baron Dipauli, wystąpiwszy w jesieni roku zeszłego z wnioskiem uporządkowania kwestyi językowej w drodze ustawodawczej „celem zniesienia rozporządzeń językowych", w mowie, wygłoszonej 11-go października w Lincu, tak sprawę objaśniał: „Wina smutnego obecnego położenia Austryi spada na rozporządzenia językowe. Od chwili ich zjawienia się oświadczyliśmy, że nie możemy na razie rozstrzygać o nich, lecz domagamy się spokojnej o nich dyskusyi w komisyi. Podsuwano nam myśl, abyśmy najprzód poparli wniosek naglący lewicy, ale potem głosowali przeciwko merytorycznej jego części, a zatem pochwalili rozporządzenia. Nie uczyniliśmy tego." W takich warunkach nie mogło więc być mowy o tem, aby adres większości, która była i jest większością tylko dzięki należeniu do niej katolickiego stronnictwa ludowego, zapisywał „utrzymanie rozporządzeń językowych w mocy." Mógł tylko o nich milczeć i tak się też stało.

Co zaś dotyczy gabinetu, oczywiście dzisiejszego, który nie zastał już pierwotnych rozporządzeń hr. Badeniego, lecz zmienione prowizoryczne rozporządzenia barona Gautscha, to, jak wiadomo, hr. Thun wygłosił w Izbie 21 marca program ogólnikowy, ale 27-go marca w rozprawach nad wnioskami językowemi oświadczył:

„Jasno i otwarcie zaznaczam, że obejmując w spadku rozporządzenia barona Gautscha, podzielam także zamiar jego obstawania przy uporządkowaniu kwestyi językowych w drodze ustawodawczej."

A dalej: „Rozporządzenia językowe z 5 kwietnia r. 1897-go zostały zniesione, bo nie odpowiadały faktycznym stosunkom w kraju. Ja również stoję przy zasadzie pełnego i równego prawa, ale forma ta, jaką ona wówczas otrzymała, spotkać się musiała z żywymi zarzutami."

Rzecz ma się więc tak, że 1) projekt adresu większości roku zeszłego nie wspomniał ani słowem o rozporządzeniach językowych; i że 2) z oświadczeń dzisiejszego prezesa gabinetu o nich, jak to słusznie zaznaczył baron Dipauli w swej mowie 3-go maja r. b., logicznie wynikała raczej konieczność zmienienia tych „niestosownych" rozporządzeń, nie zaś zamiar utrzymania ich „w mocy".

Raport Pobiedonoscewa.

Rosyjski *Goniec Rządowy* ogłosił następujący raport nadprokuratora synodu o byłych unitach w Chełmskiem:

„Liczba ogólna prawosławnych równa się 426.250 osobom płci obojej. Większość ich, to są byli unici, przyłączeni do cerkwi prawosławnej w r. 1875 i rozrzuceni w guberniach: lubelskiej, siedleckiej, a po części i suwalskiej. Mniejszość — to parafianie starodawnych cerkwi prawosławnych, rozrzuceni we wszystkich 10-iu guberniach Król. Polskiego. Stopień religijności ludności prawosławnej tej eparchii, ludności wzrastającej w warunkach rozmaitych, nie jest jednostajny. W liczbie starodawnych parafian cerkwi są rdzenni Rosyanie, przybyli z gubernij wewnętrznych, są urodzeni na miejscu i będący częstokroć w pokrewieństwie z innowiercami. Nie mało, zwłaszcza pośród t. zw. inteligencyi, indeferentystów w rzeczach wiary, a są i tacy, co z wychowania, pochodzenia i późniejszych stosunków życiowych zbliżają się bardziej do otaczającej ich ludności polsko katolickiej, a przez to uczuciami swojemi bliżsi są Kościoła, niż cerkwi, a przynajmniej nawykają do nierobienia wielkiej różnicy pomiędzy pierwszym, a drugą. Pomiędzy oddanymi prawosławiu parafianami, którzy gorliwie odwiedzają cerkwie i zachowują wszystkie obrządki, niemało jest takich, co szanując święta prawosławne, święcą także i katolickie.

„Szczególnie smutnem zjawiskiem w życiu cerkiewno-religijnem eparchii chełmsko-warszawskiej, zjawiskiem, któremu towarzyszą objawy szczególnie szkodliwe dla prawosławia w kraju, jest uporczywe odosobnianie się od cerkwi prawosławnej znacznej części byłych unitów i dążenia ich do przejścia na katolicyzm. Podług posiadanych informacyi liczba opornych sięga cyfry 73 175 ludzi. Cała ta masa bądź nie wykonywa żadnych obrządków prawosławnych, bądź też potajemnie odbywa praktyki religijne w kościołach zagranicznych lub miejscowych. Wszyscy oporni żyją nadzieją, że wcześniej lub później będzie im wolno przejść na katolicyzm. Każdy wybitniejszy wypadek w kraju, czy zmiana osób w wyższej administracyi, czy inny objaw życia państwowego Rosyi budzi w nich nadzieję ulg, o czem też gorliwie ich przekonywają stronnicy łacino-polonizmu.

„Bezkarność czynów opornych, częstokroć wrogich prawosławiu, np. stawianie krzyża katolickiego na cmentarzu prawosławnym, procesye z zapalonemi świecami i śpiewanie polskich hymnów jest niejako potwierdzeniem informacyi o zmianach w ogólnem kierownictwie sprawami unii. Bezkarność ta, oddziaływając na wzmożenie się fanatyzmu w opornych, oddziaływa też zgubnie na innych parafian. W przewidywaniu zmian ci, co odwiedzali cerkwie, usuwają się od spełniania obrządków i przechodzą do rzędu opornych. Żywioły, wrogie prawosławiu, t. j. księża i inni agitatorowie starają się z tych warunków wyciągnąć korzyść dla sprawy własnej.

„Warunki powyższe wymagają od duchownych prawosławnych zalet specyalnych, moralnych i umysłowych, znajomości zwyczajów miejscowych, stosowania się do okoliczności, wielkiej pracy i gorliwego głoszenia słowa Bożego, oraz dyskusyi z parafianami o przedmiotach wiary i moralności. Ze wszystkiego tego duchowieństwo prawosławne wywiązuje się gorliwie. Odbywa procesye, rozwija kazania, prowadzi dyskusye i odbywa konferencye religijne z ludnością dorosłą w szkołach, głównie w dni świąteczne. Pracy duchownych pomagają i bractwa, zwłaszcza trzy: „Świato-Bogorodzkoje", „Świato-Nikołajewskoje" i „Świato-Troickoje", oraz dwa klasztory żeńskie: w Leśnie (gub. siedlecka) i w Teolinie (gub. suwalska).

„Rozejrzenie się w działalności i życiu eparchii chełmsko-warszawskiej przekonywa, że obok stron smutnych jest niemało świetlanych, budzących nadzieję lepszej przyszłości. Działalność religijna duchowieństwa, bractw i klasztorów sprowadza pomyślne następstwa, zaś szkoły cerkiewne wychowują nowe pokolenia w duchu oddania się cerkwi świętej. W r. 1895 przyjęło prawosławie 1.026 osób, a wielu z opornych wzywa przed śmiercią chętnie duchownych prawosławnych. Inni oporni, chociaż sami nie chodzą do cerkwi, pozwalają dzieciom odwiedzać je, zaś sami bywają na konferencyach i naukach, prowadzonych w szkołach. Świadczy to, że i oporni dochodzą do przekonania o niemożliwości pozostawania nadal bez pociechy i pomocy religijnej."

---

6)

DOBRE ZIARNO.

POWIEŚĆ

przez

ALCES.

(Ciąg dalszy).

W pierwszem więc nieco poufalszem zetknięciu się tych dwóch wręcz przeciwnych pod każdym względem istot, z których jedna miała dotąd tylko rozbudzoną duszę, a druga tylko zmysły, musiał się nieodzownie rozpocząć między niemi proces rozdwojenia i to rozdwojenia kompletnego, bo moralnego i fizycznego zarazem, a proces ten postępował z niesłychaną szybkością, jak przebieg zjadliwej i zabójczej choroby. Brutalne pieszczoty męża napełniły wstrętem do małżeństwa tę subtelnie wrażliwą kobietę, a jego zwierzęca żądza ostygła zupełnie wobec jej lodowatego chłodu; w niespełna ośm miesięcy po ślubie powrócił do dawnego życia i do dawnych przyzwyczajeń.

Żeniąc się z Izą, Ilnicki robił najprzód zdaniem swojem dobry, a raczej jemu potrzebny interes, a potem dopiero uznał, że młoda kobieta jest w dodatku piękną i z wszechmiar pożądania godną. Pochodząc z bardzo bogatej rodziny parweniuszów, sam przez się bogatszy jeszcze z powodu odziedziczonego spadku i niezwykłego sprytu w obracaniu kapitałem, posiadał rzeczywiście ogromną fortunę, którą zwyczajem dorobkiewiczów na szalone zbytki roztrwaniał, czując instynktownie, że tylko za cenę pieniędzy mógł zająć miejsce w tym świecie, w którym chciał się obracać.

Stosunki, jakie pieniądze dają, kosztowały go dużo, a uznał że mu rzeczywistej nie przynoszą korzyści, były bowiem przelotne i zmienne. Ilnicki był pozytywistą, więc pragnął je ustalić, opierając na małżeństwie z osobą, bezsprzecznie do tego świata należącą. Myśl poślubienia hrabianki Ostawskiej była mu zręcznie poddaną przez matkę Izy, powodów się domyślał, ale że mu rzecz niezmiernie dogadzała, więc ich nie badał. Żeniąc się z hrabianką Ostawską, wchodził przez drzwi otwarte tam, gdzie się dotąd wślizgiwał tylko. Była to rodzina znana w Z., gdzie się chciał osiedlić, znana w całym kraju i po za krajem, gdzie pp. Ostawscy często przebywali. Ponieważ więc to małżeństwo było dlań pod każdym względem wybornym interesem, Ilnicki się na nie łatwo zdecydował. Piękność Izy była w jego ręku drugim atutem z którego korzystać nie omieszkał i dzięki tej piękności on nabrał znaczenia i rozgłosu. Przybywały mu znajomości o światowych nazwiskach, przybywało przyjaciół, między którymi byli nawet i tacy, którzy nie potrzebowali jego pieniędzy. Wciągano go w kółka najbardziej „select", nazywano „ce cher Andrée", słowem stał się koryfeuszem tej świetnej a zarazem nędznej kosmopolitycznej zbieraniny, jaką jest świat Nicejski.

Mimo dość płytkiej inteligencyi, wiedział dobrze Ilnicki i pojmował jasno, że tego nagłego zwrotu nie zdziałał jedynie jego majątek, ale cudne oczy Izy, którą wtedy dopiero na swój sposób ocenić potrafi, odkąd się przekonał, że jej zawdzięcza swą świetność i światową popularność. Otaczał ją też wszystkiem co tylko mogło jej urok i blask podwoić. Wymagał od żony najwykwintniejszej elegancyi, zmuszał ją do zbytku, do rozrzutności nawet, byle ciągle czemś nowem, zadziwiającem, czy to rzeczywistą pięknością, czy ceną dla innych nieprzystępną, ludzi a raczej głupotę ludzką olśniewać. I udawało mu się to znakomicie, gwar i ruch ludzki wzmagał się koło nich, mężczyzni chcieli być dobrze z mężem, by módz być dobrze z żoną, to znowu starali mu się przypodobać, bo im był dogodny, potrzebny, w trudnych chwilach nawet niezbędny.

Niektóre kobiety bezmyślnie należały do kółka Ilnickich, dlatego, że inne je tam poprzedziły, drugie miały w tej przyjaźni, z którą się ofiarowywały od razu, pewne wyrachowanie i korzyści czy to materyalne, czy też moralne, a raczej niemoralne, a reszta starała się wcisnąć w to zaczarowane koło zbytku i pieniędzy, by w braku rzeczywistości mieć choć ich złudzenie. Przez salon pp. Ilnickich przesuwały się osobistości różnego stanu, różnej narodowości i jeszcze różniejszej wartości. Tę chyba najtrudniej byłoby znaleźć w tem gronie smakoszy lub łakomców, czy to używania życia, czy złota, czy próżności, z których niejeden i niejedna już mieli przeszłość dość chmurną za sobą, a mało kto myślał o lepszej przyszłości. Z dnia na dzień zdawało się być hasłem tej lekkiej, wesołej, gwarnej i świetlanej kliki, która swe intrygi, miłostki, swe żądze lub swe wielkie nic z różnych stron świata przeniosła nad to urocze wybrzeże, stworzone albo do szaleństw i niepamięci o wszystkiem co nie jest rozkoszą, albo dla głębokiego szczęścia ukrytego gdzieś w zakątku tego raju na ziemi, by lepiej módz odczuć to szczęście tam, gdzie ono samo zda się każdym promieniem słońca z nieba spływa, każdym oddechem szafirowej fali się wylania.

W pośrodku tego na pozór arystokratycznego tłumu, który od tej drugiej teatralnej zgrai nieobznajomionemu odróżnić byłoby trudnem, tak mało się w nich różniły od siebie kobiety wielkiego i pół świata, odbijała Iza rzeczywistą arystokracyą pojęć i uczuć, których wyraz rozjaśniał jej twarz, podwajał urodę i wyróżniał ją od jej otoczenia. Była tak mało stworzoną do tego rodzaju życia, tak mało on z jej usposobieniem licował, tak była obojętną na splendory, którymi ją otaczano i pokrywano, że na każdym, który miał trochę zmysłu obserwacyjnego, musiała robić raczej wrażenie ofiary, niż królowej tych zebrań, wycieczek, obiadów i bali.

Tej zimy wodzem całej kolonii był książę Bostow — trochę Moskal, trochę Francuz — europejczyk, jak się sam nazywał, gdy go pytano o narodowość. Piękność pani Ilnickiej wielkie na nim zrobiła wrażenie i od początku „saison'u ułożył cały plan kampanii, którą ułatwić miała mnogość ludzi, wycieczek i zebrań mających mu służyć do zdobycia jeżeli nie serca, to przynajmniej względów pięknej Polki. Ludzie, wycieczki i zebrania dopisały mu wprawdzie, ale kampania nie postępowała. Stał na miejscu, na którem ją rozpoczął, to jest podziwiał panią Ilnicką i nie wiedział jak, kiedy i na jaki sposób postąpi dalej. Był to może w całem tem gronie najsympatyczniejszy człowiek. Miał wiele sprytu i wiele ogłady, za sobą bohaterskie przejście przez Bałkany podczas turecko-rosyjskiej wojny, przed sobą jakieś zrywające się czasami jak ptaki do lotu i opadające od razu — lepsze i wyższe porywy, jakieś poczucie dobra, pogardę złego, brak mu było tylko ręki, któraby go w tym kierunku popchnęła i wobec tego braku, oraz braku silniejszej woli stawał się powoli sybarytą dogadzającym tylko swoim zachciankom, wygrzewającym je w zimie na słońcu Południa, a potem wszędzie na świecie, gdzie jeno było wesoło i dobrze, jak żeby nic więcej nie istniało na ziemi tylko rozkosze, a te nieodzownie miały być udziałem księcia Bostowa.

Takim był najpoważniejszy wielbiciel pani Ilnickiej, nieodstępny jej towarzysz bardzo mile widziany przez Ilnickiego, który znalazł w nim prawdziwego wielkiego pana, o czem co do niejednego z swoich przyjaciół poczynał z końcem sezonu seryo powątpiewać. Ten wielki pan traktował go dość lekko, ale gruby naskórek próżności nadętego parweniusza nie odczuwał tego, może schlebiała mu ta lekceważona poufałość człowieka którego na własne oczy widział ściskającego niedbale podaną sobie dłoń przez koronowaną głowę. Iza wolała go może od wielu innych, ale zresztą był on jej niesłychanie obojętnym, co najwięcej nudził ją z początku ciągłem asystowaniem, ale gdy mąż dał jej do zrozumienia, że pragnie by z nim była w dobrych stosunkach, z obawy wybuchów gwałtowności, jakie go napadały, gdy mu się w tych rzeczach opierała, starała się do Bostowa przyzwyczaić i przyzwyczaiła się do tego stopnia, że nie uważała zupełnie, iż oprócz niej, książę nie zajmuje się nikim i że objął jakby monopol nad jej osobą. Nad tem wszystkiem rozmyślała teraz, a myśli te nasunęło jej zdarzenie zaszłe w przededniu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Sprawa kowieńska.

W otrzymanym przez nas w tej chwili *Kraju* znajdujemy korespondencyę z Kowna p. t. „W świetle prawdy", oraz powtórzenie rozmowy redaktora z katolickim księdzem w Petersburgu. Redaktor zapytał owego księdza, czy wie co o kowieńskiej historyi?

— Rzeczywiście — brzmiała odpowiedź — w końcu sierpnia słyszałem o aresztowaniu ks. Bielakiewicza, którego jedna z jego penitentek oskarżyła przed policyą o zbyt surowe jej ukaranie.

— Cóż to była za penitentka?

— Ks. Bielakiewicz, widząc szerzącą się wśród niższych klas ludności niemoralność, zajął się naprawą obyczajów i w tym celu podobno sprowadzał kobiety, znane z niemoralnego prowadzenia się, do kaplicy, w której na ścianie wisiał wielki krucyfiks. Tam skłaniał je do pokuty i sam osobiście i przy pomocy kobiet pobożnych, zwanych zwykle dewotkami, które pracowały nad penitentką, tłómacząc jej obrzydliwość jej postępowania i skłaniając ją do oczyszczenia się z grzechów spowiedzią.

— Czy ks. Bielakiewicz ograniczał się tylko do moralnych nauk i nie uciekał się do bicia?

— Tego nie wiem, choć przypuszczam, że nie zawsze ograniczał się do środków łagodnych. Jest to ksiądz młody, gorący, mógł więc niekiedy okazać się zbyt gorliwym w nawracaniu jawnogrzesznic. Ale żeby się miał znęcać nad niemi, torturować je, jak pisze *Swiet*, w to stanowczo nie wierzę. Byłby to fakt, godny jednomyślnego i stanowczego potępienia.

Dalej *Kraj* pisze:

„Sprawa księdza Bielakiewicza narobiła tak wielkiej wrzawy w prasie i opinii rosyjskiej, grozi tak fatalnemi w skutkach uogólnieniami, że uważaliśmy za stosowne wysłać na miejsce specyalnego korespondenta dla zbadania sprawy i zebrania informacyj źródłowych. Relacyę naszego korespondenta, odebraną w ostatniej chwili, zamieszczamy w całości:

Kowno, 23 września.

„Spełniając życzenie Redakcyi, przybyłem tutaj i na podstawie najwiarogodniejszych, źródłowych informacyj, mogę opowiedzieć istotną treść głośnej dziś sprawy o „inkwizycyjne praktyki" księdza Bielakiewicza.

Naprzód stwierdzić muszę fakt, że ks. Bielakiewicz pozostaje w więzieniu. Początkowo sąd okręgowy tutejszy zgodził się wypuścić go czasowo na wolność za odpowiednią kaucyą, ale izba sądowa wileńska, do której odwołał się prokurator Bałanow, skasowała rozporządzenie sądu, nie zgadzając się, aby ks. B. odpowiadał z wolnej stopy. Śledztwo pierwiastkowe zostało już przez sędziego śledczego ukończone. Oskarżenie przeciwko ks. B. wniesione zostało z paragrafu 1542 kod. karn.

Przechodzę do osobistości samego księdza Bielakiewicza. Był to fanatyk, oddany swemu powołaniu i poświęcający cały swój czas, wszystkie swoje siły — walce z moralną zgnilizną, która w ostatnich czasach niezwykle, jak na nasze stosunki, zaczęła się szerzyć w Kownie. Młody, mizerny, skłonny do suchot, o wyglądzie nadzwyczaj nieśmiałym i niepozornym, miał w sobie jakąś niezwykłą, ukrytą energię, którą wywierał taki wpływ na swoje grzeszne owieczki, że te go, lękając się, słuchały i spełniały dobrowolnie najcięższe pokuty. Najostrzej i najenergiczniej występował przeciw małżeństwom nieślubnym, prostytucyi i pijaństwu. Chodził do mieszkań takich grzeszników, robił wymówki i napomnienia, kazał całować ziemię i obiecywać poprawę, mężom wracać do żon, żonom do mężów, pijakom zaprzestawać używania trunków — i słuchano go. Wiele małżeństw pogodził, nieślubnych połączył węzłem małżeńskim, pijaków poprawił, nie żałując przytem środków materyalnych, bo wszystko, co miał, oddawał biednym i potrzebującym, pomagając do urządzenia gospodarstwa domowego; dając zajęcie i t. d. To wszystko przytoczywszy na korzyść księdza B. dodać muszę, że przebierał miarę w gorliwości, że nieraz dla dopięcia chwalebnego celu używał, na nieszczęście, środków nie tylko że niewłaściwych, ale wprost oburzających.

Gdy wskazówki i moralne napomnienia nie skutkowały, ks. B. zamykał opornych grzeszników w składzie, w sklepie warzywnym i w komórce przy kościele, a w najgorszych wypadkach: w podziemiach pod kościołem, gdzie rzeczywiście kiedyś chowano mniszki Bernardynki, których trumny dotychczas tam się znajdują. Trumny te są spróchniałe, kościotrupy widoczne i podziemia sprawiają wrażenie bardzo przykre. Ksiądz B. tłómaczył się, że mając do czynienia z istotami zupełnie zdeprawowanemi, musiał na nie oddziaływać za pomocą wyjątkowo ostrych środków, chciał widokiem umarłych wzbudzić w grzesznikach myśl o śmierci i o życiu przyszłem, a zatem i o potrzebie poprawy. Śledztwo wykazało, że ks. B. najbardziej upartych bił powrozami i pałką. Służba kościelna pomagała mu w tem, i zapewne nieraz zanadto energicznie.

Historya tych pseudo-religijnych praktyk, przechodząc z ust do ust, przybierała coraz fantastyczniejsze kształty i w tych fantastycznych kształtach odbiła się na szpaltach pism. Tymczasem sam fakt rzeczywisty, sama prawda jest już dostatecznie bolesną, ażeby ją trzeba było ubarwiać nieprawdziwemi dodatkami.

Przedewszystkiem więc musi wobec istotnego stanu rzeczy odpaść legenda, że sprawa ma charakter polityczny. O działaniu księdza Bielakiewicza przeciw „państwu i prawosławiu" nie ma mowy i takiego zarzutu, o ile mi wiadomo, ani policya, ani prokuratorya, ani władza śledcza nie podnosiła. Ksiądz Bielakiewicz karcił istotnie kobiety oddające się rozpuście, albo żyjące w związku nieślubnym, ale bez względu na to, do jakiego wyznania należał współwinny. Korespondent *Swieta* pisze, że Zukowska uległa prześladowaniu księdza za to, że żyła z prawosławnym w związku... nieślubnym, zapomina przytem dodać, że ów prawosławny był żonaty. Kapłan prawosławny musiałby tak samo, jak i katolicki, potępić to podwójne przestępstwo przeciwko dobrym obyczajom, religii i kodeksowi karnemu.

Wreszcie niczem nie stwierdzono, ażeby którakolwiek z ofiar miała „posiwieć" lub „zwarwować" (jak doniósł *Swiet*).

Odtrąciwszy wszakże charakter polityczny i przesadę w szczegółach i akcesoryach — pozostaje jednak sam fakt, nad wyraz smutny. Najszlachetniejsze cele nie usprawiedliwiają środków, nie usprawiedliwiają praktyk, które przy końcu XIX wieku muszą być potępione ze stanowiska cywilizacyi, a tembardziej ze stanowiska religii.

Niejaką pociechę stanowić tu może tylko to, że fakt sam jest odosobniony i bez precedensów, że ks. Bielakiewicz jest unikatem w swoim rodzaju i że nie może ulegać żadnej wątpliwości, że katolicka zwierzchność duchowna musi potępić działania, nie mające nic wspólnego z doniosłemi zadaniami kapłana, powołanego do umoralnienia społeczeństwa tylko słowem Bożem i miłością.

Co i o czem piszą.

P. Aleksander Krzeczunowicz zwraca w *Gazecie Narodowej* uwagę na sprzeczność między rozporządzeniami ministeryum skarbu a okólnikiem krajowej dyrekcyi skarbu z dnia 27 marca r. b. w kwestyi wymiaru podatków bezpośrednich osobistych. W okólniku powiedziano, „że oczekiwania dyrekcyi co do ogólnego rezultatu fasyj zostały zawiedzione", a dalej następuje instrukcya:

„Stanowisko społeczne nieprawdziwie fasyonującego nie powinno i nie może być brane w rachubę przy ocenianiu jego fasyi.

„Właśnie względy wobec osób możnych i wpływowych musiałyby najbardziej demoralizująco oddziałać na innych kontrybuentów. Oszacowanie dochodów nastąpić powinno co do wszystkich osób, do jakiejkolwiek sfery społecznej one należą, jedynie według najlepszej wiedzy i woli".

A więc inspektor podatkowy, dowiedziawszy się od swej naczelnej władzy, iż znaczna większość fasyj musi być fałszywą, skoro oczekiwania zostały zawiedzione, domyślać się musiał, iż najwięcej tych fałszywych fasyi musiały widocznie złożyć osoby możne i wpływowe, skoro osobny im nawet poświęciło prezydyum dyrekcyi skarbowej, nie należące do socyalistów.

Jakże ma inspektor okazać innym kontrybuentom, że posłuchał władzy i że nie ma względów dla osób wpływowych, jeżeli nie bezwzględną sekaturą i podwyższaniem fasyj tych osób? Które zaś są te osoby? Prawdopodobnie posłowie, prezesowie, burmistrzowie, radcy, może nawet starosta? Aby zaś nie być posądzonym, że fasye fałszywe (których ma być znaczna większość) przepuszcza, — podnosi o ile może fasye wszystkich kontrybuentów, zwłaszcza, iż, jak okólnik powiada, ma szacować jedynie podług najlepszej swej wiedzy i woli, a nie jak ustawa przypisuje, tj. przedewszystkiem na podstawie fasyi.

Dalej okólnik mówił:

„Rzeczą inspektorów podatkowych, jako przewodniczących komisyi, będzie wpoić w komisyę zasady w ustawie samej i w niniejszem rozporządzeniu wyrażone, czuwać bezustannie nad należytem ich przestrzeganiem i pokierować pracami w ten sposób, aby wymiar podatku wykończony został w czasie jak najkrótszym, a najpóźniej przed 1 czerwca 1898.

„Gdyby wbrew oczekiwaniu przewodniczącemu nie udało się utrzymać wobec komisyi wniosków na najlepszej wiedzy i sumieniu opartych, obowiązkiem władzy podatkowej będzie w każdym takim wypadku wnieść przeciw wymiarowi odwołanie do krajowej komisyi apelacyjnej".

A więc trzymając się okólnika, powinien był inspektor przeprowadzić w komisyi swoje wnioski, a jak się nie udało, to rekurować. „Ma wpoić w komisyę zasady w ustawie i w tem rozporządzeniu wyrażone".

Tymczasem słowy: zasady zawarte w rozporządzeniach ministeryalnych, które stawiają jako regułę [illegible] fasyj, a dozwalają wyjątkowo zmieniania ich i to tylko w razie odmiennego zapatrywania prawnego lub mimowolnej omyłki, stosować zaś każą przepisy karne w razie rozmyślnie fałszywych fasyj, a bezwarunkowo zabraniają podnoszenia fasyj bez przedłożenia fasyonującemu [illegible] — jakby zniesiono tym okólnikiem, w którym położono nacisk jedynie na korekturę fasyj.

Wprawdzie w okólniku zaznaczono, że omyłka na niekorzyść kontrybuenta może zachwiać wiarę w sprawiedliwość władz wymierzających podatek, ale ta słuszna uwaga nie wrazi się w pamięć inspektorów podatkowych, ponieważ w okólniku z góry i stanowczo powiedziano, iż przeważna część fasyj jest fałszywa. A już nadzwyczajnie utkwią w pamięci inspektorom następujące słowa okólnika:

„Prezydyum polega z pełnem zaufaniem na znanej sobie energii i dobrych chęciach panów referentów podatkowych, których też bez wyjątku mianowano przewodniczącymi komisyj szacunkowych, nie wątpiąc ani na chwilę, że dołożą wszelkich starań, aby z zadania swego jak najchlubniej się wywiązać.

„Zarazem zaznacza prezydyum ze swej strony, że nie poskąpi im swego uznania, że chce i potrafi prawdziwe zasługi ocenić i należycie wynagrodzić".

Mały Fejleton.

WĄŻ.

Zaledwie przybyłem do Australii, gdzie postanowiłem sobie „szukać" szczęścia, gdy nagle dawna moja obawa przed wężami otrzymała nową podnietę. Gdziekolwiek się ruszyłem, [illegible] przed wężami. Kupiłem sobie [illegible] laskę, która [illegible] w sobie trwałość z elegancyą, miała być bronią przeciwko tym bestyom ohydnym. Laski tej nie wypuszczałem ani na chwilę z ręki, [illegible] po stepach australskich, porosłych niską krzewiną. Opierając się na niej, myślałem nieraz: Niech by tu tak teraz nagle wąż wysunął... jedno potężne uderzenie i... no nie chcę się przechwalać.

Pewnego dnia przybyłem do miasteczka, położonego na północnym krańcu Nowej Walii Południowej. Było to w porze roku, którą krajowcy zową wiosną, w porze o 40 stopniach ciepła w południe, a 30 do 35 wieczorem. Nie drgnął listek na drzewie, a w atmosferze rozpalonej [illegible] można było tylko z trudem oddychać. Niepodal hotelu, do którego zajechałem, wił się mały strumyczek, który dostarczał hotelowi moskitów o niesłychanej żarłoczności. Jadło się w tym hotelu źle, ale za to było się pożeranym wspaniale. Zaraz po przyjeździe skarżyłem się właścicielowi hotelu, Niemcowi. Od niego dowiedziałem się, że okolica cierpi wiele z powodu węży. Pobliże stepów krzewiastych i rzeczki, w połączeniu z okropnym skwarem, sprawiały, że miasteczko było istnem wężowem gniazdem. Tego samego dnia po południu zabił mój gospodarz [illegible] węża.

„Do szaleństwa po prostu — mówił — doprowadza to, że te potwory nad wieczorem włażą do mieszkań i ukrywają się tam, gdzie tylko mogą".

Lodowaty dreszcz przebiegł mnie wzdłuż grzbietu.

Przyszedłszy do mojego pokoju, rozpocząłem poszukiwania. Zaglądałem we wszystkie kąty, poprzesuwałem wszystkie meble, a łóżko poddałem najdokładniejszej rewizyi. Przewróciłem po kolei wszystkie kołdry, siennik i poduszki. Wreszcie — co za głupstwo — przeszukałem nawet szuflady.

Węża nigdzie nie było.

Uspokojony zupełnie, zamknąłem okno, rozebrałem się, zgasiłem światło i wlazłem znowu cokolwiek niespokojny pod kołdrę.

Gorąco było nieznośne. Moskity zaczęły mi brzęczeć około głowy. Łóżko było wprawdzie opięte siatką ochronną, ale siatka była w kilku miejscach dziurawa. Ażeby więc głowę uchronić od moskitów, nakryłem ją kołdrą, pomimo niebezpieczeństwa uduszenia się. W ten sposób oddychając z trudem i ocierając obficie potem oblane czoło, usiłowałem usnąć i zapomnieć o rzeczywistych moskitach i wężach urojonych.

Zdrzemnąłem się rzeczywiście, ale tylko na chwilę, gdyż zbudziło mię niesłychane gorąco i spowodowana niem kąpiel we własnym pocie. Było to tak nieznośnem, że postanowiłem obie ręce oddać na żer moskitom. Nie zdejmując więc kołdry z głowy wysunąłem obie ręce i położyłem je na kołdrze.

Doprawdy, nie jestem tchórzem; już jako dwudziestoletni chłopak słuchałem dość obojętnie świstu kul na pobojowiskach francuskich. A przecież teraz, pomimo niesłychanego gorąca krew zakrzepła mi w żyłach na chwilę. Moja prawa ręka spoczęła na leżącym w poprzek na kołdrze wężu. W pierwszej chwili objąłem go niemal palcami. Tak, to był wąż, taki jaki tylko być może, zimny, nieruchomy, jak śmierć.

Węże mają sen twardy, a mój spał jak niedźwiedź. Nie drgnął nawet. Ostrożnie cofnąłem obie ręce i schowałem je znowu pod kołdrę.

Sytuacya była rzeczywiście nie do pozazdroszczenia. Wąż.... w nocy ciemnej jak smoła.... na mnie, a ja bez żadnych środków obrony lub ucieczki.... bez nadziei na jakąkolwiek pomoc.... prawie nagi.... to nawet dla największego zucha było już trochę za wiele.

Położenie moje stało mi się okropnem. Po całem ciele spływał mi z góry na dół strumieniami zimny pot. Byłem bezwładny, jakby przygwożdżony do łóżka.

Co począć?

Wstać i ratować się ucieczką? Dobrze, ale w ten sposób mogłem zbudzić węża, a on mógł mi przeciąć drogę do odwrotu. Najodpowiedniej wydało mi się leżeć spokojnie i tak doczekać do brzasku. Niestety mogła to być zaledwie północ i kto wie czy bym wytrzymał siedm godzin z tą straszną zmorą na sobie.

Wąż się nie ruszał, ja oczywiście także nie. Czułem go wyraźnie na sobie w całej długości. Uderzyło mnie tylko to, że wąż spał wyprostowany, wbrew zwyczajowi wężów, które zwykły spać zwinięte w kłąbek. Za pomocą dwóch nieznacznych a niesłychanie powolnych ruchów kolan, przekonałem się, że mój wąż mógł mieć około 3 stopy długości. To jest mniej więcej długość żmij australskich tzw. „Death-adder". W głowie mi się zakręciło na myśl, że ten potwór, którego jedno ukąszenie zabija człowieka bezwarunkowo natychmiast, leży tu, gotów każdej chwili się zbudzić i pozbawić mnie życia.

Wreszcie obmyśliłem pewien plan. Chciałem ostrożnie zwinąć kołdrę, zawinąć nią węża, a potem go zadusić. Niestety było na to zbyt ciemno i operacya taka przedstawiała wielkie niebezpieczeństwo. Wąż mógł się przecież chyłkiem wysunąć z fałdów kołdry i ukąsić mnie w ramię śmiertelnie. Trzeba było obmyśleć coś innego... ale przedewszystkiem światła, światła, choćby wszystko przyszło postawić na kartę.

Wyciągnąłem prawą rękę i począłem nią dotykać stojącej obok łóżka szafki nocnej, na której zostawiłem zapałki. Po pięciu nieskończenie długich minutach takiego manewrowania dotknąłem ich wreszcie palcami. Nie ruszając ciała, udało mi się z ogromnym trudem zaświecić świecę. W pierwszej chwili przeraziło mnie światło. Wąż pewnie się zbudził i lada chwila rozpocznie się nierówna walka.

Ale wąż wciąż jeszcze spoczywał bez ruchu.

Odważyłem się wreszcie wysunąć z pod kołdry głowę do połowy i z niewysłowionym strachem puściłem wzrok mój wzdłuż łóżka. Mój wąż leżał na niem wyprostowany jak drukowane wielkie I. Nabrałem trochę odwagi i zwolna wysunąłem się z łóżka. Naturalnie, że począłem szukać mojego kija, tego silnego i pięknego zarazem, zrobionego z dobrej hiszpańskiej trzciny.

— Buch raz! i będzie po wszystkiemu — myślałem — a przynajmniej sprzedam drogo moje życie.

Spojrzałem na kominek, potem po wszystkich kątach... kija nie było. Myślałem, że go musiałem zapomnieć podczas rozmowy z gospodarzem. To była klęska tak straszna, że mi już się miarka przebrała. Ochłonąłem z przerażenia i porwała mię jakaś wściekła, chłodna odwaga. Pochwyciłem świecę i zbliżyłem się do łóżka, aby się z bliska przypatrzyć mojemu wrogowi. Tam w poprzek łóżka leżał na kołdrze mój... kij.

Z izby sądowej.

Poznań 10 października.

Przed Izbą karną tutejszego sądu toczył się proces przeciw dyrektorom banku parcelacyjnego: Sikorskiemu i Łopińskiemu, których oskarżono o usiłowane oszustwo przy zamierzonej parcelacyi dóbr Ruda. Cały ten proces jest tylko sztuczką niemiecką. Akt oskarżenia zarzucał podsądnym, że oszukali na 4000 marek wierzyciela hipotecznego, superintendenta Starego z Gebetsteinu, oraz usiłowali spełnić oszustwo na szkodę wdowy Mischka, która ubezpieczyła kwotę 2000 marek na hipo... dóbr.

Prokurator wniósł dla oskarżonych ka... 4-miesięcznego więzienia, sąd ich jednak od wszelkiej odpowiedzialności uwolnił.

* * *

Jasło 8 października.

(Rozruchy antisemickie.)

W wielkim procesie o zaburzenia w L...kach, Pietruszej Woli i Wysokiej, zapadł już wyrok. Z pomiędzy 80 oskarżonych włościan 13 uwolniono; najwyższą karę otrzymali Bie...nacki i Wąsik, pierwszy 11 miesięcy, drugi 1... miesięcy ciężkiego więzienia. Resztę zasądzono na więzienie od 1 do 7 miesięcy.

Kronika.

Lwów 10 października.

Wiadomości dyecezyalne. Archidyecezya lwowska ob. łać. Mianowany: tymczasowym dziekanem horodeńskim ks. Jan Dręgiewicz, proboszcz w Obertynie. Odznaczony *expos. can.*: ks. Jan Smagowicz, proboszcz w Kutach. Zamianowani: ks. Mikołaj Trębicki, proboszcz w Podhajcach i ks. Józef Pal..., ekspozyt w Peczeniżynie, delegatami Rady szkolnej kraj. w odnośnych okręgach. Przeniesiony: ks. Tomasz Rzeźnik z Maryampola do Kozłowa.

Dyecezya przemyska: Ks. Stanisław Bandasiewicz, czasowy deficyent, został przeznaczony jako wikary do Iwonicza.

Mianowania poczmistrzów i ekspedyentów. Galicyjska Dyrekcya poczt i telegrafów nadała posady: A) Poczmistrzów: w Zwierzyńcu Janowi Pince z Zagórzan, w Czerlanach Kazimierze B...gen z Dublan, w Pohutorach Alojzemu Witkowskiemu, w Grzymałowie Józefowi Pazirskiemu, w Kopyczyńcach Janowi Soleckiemu z Mszany dolnej, w Słotwinie Władysławowi Lautschnemu.

B) Ekspedyentów pocztowych: w Dublanach Józefowi Felicyanowi Brückowi, w Witwicy Filomenie Paszkowskiej, w Błudnikach Wincentynie Bučič Diwanowej, w Drohowyżu Maryi Scheybal Kulikowa, w Zagórzanach Teodorze Walisch Chorośnicy, w Izdebkach Józefowi Filarowi z Drogini, w Tęgoborzu Kazimierze Misiewicz, w Spas... Rozalii Mayer z Jazowska, w Kalnicy Leokadyi Żytyńskiej z Krasiczyna, w Bodakach Karolowi Klostermayerowi, w Gręboszowie Stanisławowi Górowskiemu, w Nadybach-Wojutyczach Tadeuszowi Radeckiemu, w Nastanowie Janowi Kozłowskiemu, w Bachórzu Kajetanowi Gąsce, w Bruśniku Emilii Fihauser, w Ihrowicy Ludwikowi Dekańskiemu, w Turylczu Dyonizemu Kruszelnickiemu, w Nowicy Felicyi Pieprzak, w Zarudziu Józefowi Freundlichowi, w Barszczowicach Zygmuntowi Małeckiemu, w Kurowicach Antoniemu Żakowi, w Czarnej koło Ustrzyk Bronisławie Głowackiej, w Drogini Erazminie Ostrowskiej, w Suchodole Heni Dawid, w Kamienicy Wincentemu Tymańskiemu, w Nikłowicach Franciszkowi Wróblowi, w Swoszowicach na dworcu Eugeniuszowi Hanikowi, w Cieniawie Antoniemu Batowskiemu, w Harklowej Władysławie Janiewskiej, w Zembrzycach Maryi Bothe z Cieniawy, w Uluczu Elżbiecie Lachowskiej z Olszan...

Po pięćdziesięciu latach pracy jeden z weteranów sztuki drukarskiej p. Walenty Hodak, długoletni zarządzca drukarni St. Manieckiego i Spółki opuścił to stanowisko i usunął się w zacisze życia rodzinnego, by odpocząć na stare lata w domu córki i zięcia swego p. Józefa Pisza, znanego księgarza, właściciela drukarni i wydawcy tygodnika *Pogoń* w Tarnowie. Opuszczającego miejsce swej półwiekowej działalności p. Walentego Hodaka żegnali serdecznie jego koledzy zawodowi i liczne grono tutejszych obywateli z rozmaitych warstw społecznych. Był to bowiem jedna z najpopularniejszych i najsympatyczniejszych postaci we Lwowie. Jako młody chłopak przybył p. Hodak do Lwowa, tutaj ożenił się i wychował dzieci, a pracując początkowo jako zecer, a następnie jako zarządzca w pierwszorzędnych zakładach drukarskich, zjednał sobie ogólny szacunek i miłość. Piastował urząd wiceprezesa korporacyi drukarskiej i urzędy honorowe w rozmaitych instytucyach humanitarnych. Pracowity jak mrówka, uczciwy, wesoły i towarzyski, a przytem uczynny, aż do najdalszych granic zaparcia się, nie miał tu p. Hodak ani jednego nieprzyjaciela i pozostawił po sobie najpiękniejszą pamięć. Oby mu Bóg dał jeszcze przez długie lata w czerstwem zdrowiu zażywać dobrze zasłużonego wypoczynku i cieszyć się szczęściem dzieci i wnuków.

Posada drugiego sekundaryusza, stale poświęcającego się nauce o chorobach umysłowych, utworzoną ma być na oddziale psychiatrycznym szpitala św. Łazarza w Krakowie. Wniosek odnośny uchwalił Wydział krajowy przedłożyć Sejmowi.

Marszałkiem Rady powiatowej wielickiej w miejsce dr. Dziewońskiego, który złożył tę godność, obrany został p. Karol Czecz, poseł na Sejm krajowy, właściciel Bierzanowa.

Poczmistrzowie i ekspedytorzy poczt nieeraryalnych zbierają w całej Galicyi podpisy na petycyę do Rady państwa o polepszenie ich bytu. Dola ich jest zaprawdę nie do pozazdroszczenia, jest bowiem wielu takich, którzy mają 120, 150

---

23)

Kobieta w XX. wieku

przez

Juliusza Simona i dr. med. Gustawa Simona.

(Ciąg dalszy).

Nieśmiałość ogarniała ją w miarę szorstkiego przyjmowania, a szorstkość przyjęcia potęgowała się w miarę jej nieśmiałości: Podejrzenia budziły się na widok kobiety, która drżała i tak wyraźnie potrzebowała pomocy. Przez długi czas biegała, zawsze napróżno, dopominając się w ten sposób o pracę, aż w końcu wydało się jej takie postępowanie bezrozumnem. Zostało jej otrzaskanie się z grubiaństwem. „Dobrze, że się do takiego traktowania przywyczaiłam: gdy będę zmuszoną żebrać, mniej będzie strachu".

Wzięła się do robótek ręcznych, próbowała je sprzedać, ale i to jedynie przyspieszało jej upadek. Zaszła do pralni, prosząc o robotę, jako prasowaczka. „Gdzie pani uczyła się prasować?" — zapytano. Ta droga bolesna ciągnęła się przez sześć miesięcy, w ciągu których wszystkie zapasy pieniężne wyczerpały się, zaczęła zatem sprzedawać suknie i bieliznę. I to się skończyło. Dzieci zaczęły cierpieć głód. Codziennie więc pytała się, czy trzeba zacząć żebrać, czy będzie mogła, czy będzie śmiała?

Pomyślała o dobroczynności publicznej, przyznała się do swej niedoli przed gospodynią domu, zapytując, jak ma się wziąć do tego. Kobieta ta przeraziła się i, myśląc jedynie o sobie, zawołała; „A jakże mi pani zapłacisz? Nie mam tyle, abym mogła dawać jałmużnę; jeżeli mi pani nie zapłaci z końcem miesiąca, to najmę mieszkanie komu innemu". Jednakże wskazała jej, gdzie ma szukać opiekunki biednych w jej dzielnicy.

Biedna wdowa udała się natychmiast do tej damy; odesłano ją do dnia następnego na oznaczoną godzinę. Poszła, a idąc, pocieszała się, że przynajmniej w tem całem nieszczęściu nie straciła zdrowia. A jednak czuła, że siły jej słabną pod wpływem niedostatku i zmartwienia. Znalazła się u opiekunki biednych w licznem i wstrętnem towarzystwie. Weszła milcząca, pokorna i ponieważ ostatnia przybyła, ostatnia przyjętą została. Przywitano ją łagodnie, lecz zimno. Musiała przejść przez badanie: Czy pani była zamężną? Czem zajmował się mąż? Powiedziała prawdę, ale zrozumiano, że była żoną malarza pokojowego — rzemieślnika. Co do jej zachowania się i do twarzy, te wzbudziły w badającej damie nieufność, zaraz domyśliła się bowiem, że ma przed sobą damę wykolejoną. „Czy pani ma świadectwo, że już rok tu mieszka?" „Więcej niż rok". Ale po tej odpowiedzi, w tej chwili domyśliła się, że będą chcieli wydobyć z niej wszystko, że odkryją jej tajemnicę. „Czy pani jest Francuską?" — „Nie pani, Holenderką." — „A mąż pani?" — „Także z Holandyi." — „Trzeba dać świadectwo, że pani pięć lat tu mieszka; odwiedzimy panią." Wyszła, więcej niż poprzednio zniechęcona.

Kiedy znalazła się na ulicy, wszystko zaciemniło się jej i zamięszało. Domy poruszały się, ziemia się trzęsła. Dowlokła się do jakiegoś słupka i usiadłszy, zakryła rękoma oczy. Kiedy tak, zawieszona między życiem i śmiercią, siedziała, zdawało się jej, że po powrocie do domu znajdzie dzieci umarłe. „Umrzemy razem... Bóg się ulitował; nie mogłabym wymówić, że nie przynoszę im chleba". Jednakże miała tyle przytomności, że ją zadziwiały takie myśli. „Koniec zbliża się, o mój Boże! czas już czas." Nagle przypomniała sobie dawną przyjaciółkę. „Tak mi wiele okazywała uczucia. Spróbuję. Napiszę do niej. Tak, trzeba odważyć się na ten krok. Czy jeszcze duma mi nie pozwala? Nie, wszystko zrobię dla dzieci. Płaczą, wołają na mnie! Spróbowała podnieść się z siedzenia. Zadziwiało ją, że ma jeszcze tyle siły. Biegnąc skierowała się ku domowi. Weszła do pomieszkania. Dzieci rzuciły się jej na szyję i usłyszała po raz setny krzyk, rozdzierający serce matki: „Głodne jesteśmy!" Przycisnęła je do serca, aby okryć i owinąć, gdyż zimno było bardzo wielkie. Dzieci zasnęły. Nazajutrz znowu cierpieć i płakać będą. Nie śmiała wyjść, spodziewając się wizyty zapowiedzianej. Robotnicy, którzy sąsiadowali z nią, powracali około południa na posiłek; przez ścianę słyszała brzęk talerzy i łyżek i dzieci słyszały także. Dama z dobroczynności przybyła o trzeciej. Nie można było mylić się: trzy istoty które miała przed oczyma, umierały z głodu, przyniosła ze sobą na wszelki wypadek dziesięć franków z funduszu pomocy biura dobroczynnego, sama poszła po chleb i mleko, okazała się współczującą i dobrą. Powierzyła te ginące istoty sąsiadce, pracującej w domu, obiecując powrócić nazajutrz. Matka o mało nie padła przed nią na kolana. Siły cokolwiek powróciły matce i dzieciom. Teraz znów dzieci zasypiały, ale snem pokrzepiającym na kolanach matki. Ona sama rada byłaby zasnąć, ale napróżno; tylko do powracających gorzkich myśli dni poprzednich przybłąkały się cokolwiek słodsze. Stara sąsiadka przyniosła podnóżek ogrzany i zmusiła ją, aby na nim nogi wsparła i sama do jej pokoju przeniosła się z robotą, a od czasu do czasu podnosząc na nią łzawe oczy z ponad roboty, podawała jej rękę i uśmiechała się. Ta nowa pomoc i to współczucie spływały do serca nieszczęsnej, jak balsam.

Około czwartej dały się słyszeć kroki w kurytarzu i gospodyni domu zjawiła się, w nadziei, że lokatorka otrzymała pomoc. Otwierając drzwi, postrzegła na kominku resztę z pieniędzy, przyniesionych przez opiekunkę dobroczynności i kładąc na nie rękę, powiedziała: „Biorę to za moje komorne zaległe; możesz pani w drodze łaski pozostać do wieczora, nowy lokator jutro dopiero się sprowadza, nie ma pani dużo rzeczy do przenoszenia — mówiła, rozpatrując się na wszystkie strony. — Lokator nowy będzie tu jutro o 11". Rzuciła na kolana biednej kobiecie papier, mówiąc: „To się pani może przydać" i wyszła, pozostawiając jedną kobietę w przygnębieniu, a drugą we wściekłym gniewie. „Powiem to wszystkim sąsiadom, nie pozwolimy tak poniewierać panią! To niegodziwie! U dzikich lepiej obeszliby się z nieszczęśliwym!" Dzieci krzyczeć zaczęły. Kiedy stara kobieta wyczerpała się w oburzeniu, wzięła papier. „Co to jest, umie pani czytać? — zapytała. — „Umiem". Przeczytała. Był to adres nocnego przytułku. „Idź tam pani, może czasami się trafić robota. Niech pani ztamtąd pojutrze nie wychodzi przed dziesiątą, gdyż przechodząc tamtędy, zajdę do pani". Nie słyszała, co do niej mówią, ale tyle zrozumiała, że czeka ją jakieś straszne jutro, i postanowiła zrobić krok ostateczny. Cała trzęsąc się, zbliżyła się do drzwi. „Nie może pani wychodzić — zawołała stara. — Zostań tu, zjemy razem kolacyę; mam wprawdzie tylko za trzy sous chleba i trochę bulionu, mało coś dla nas czworga, ale lepsze to, niż nic". — „Nie, pójdę do opiekunki i powiem jej, że zabrali mi pieniądze i że wypędzają mnie jutro". Miała niewyraźne poczucie swej wyjątkowej niedoli i płynącej z tąd godności, przecież widzieli ją u progu śmierci. „A po drodze spróbuję poprosić przychodnia o jałmużnę". O! nie czyń tego — zawołała z przerażeniem staruszka — raz odważyłam się na to. Strażnicy policyjni postrzegli mnie i zaprowadzili do cyrkułu. Idź do opiekunki, jeżeli myślisz coś wskórać, ale wracaj prosto tu". Pobiegła, nie przyjęli jej. Zaklinała służącą, aby ją wpuściła; napróżno, w takich domach najtrudniej dostać się, gdyż jeżeliby wszystkich wpuszczano, życie stałoby się niemożliwem. Kiedy ztamtąd wychodziła, zdawało jej się, że rozbiła się o kamienną ścianę". Niech będzie, co chce — pomyślała — Będę żebrać! Niech mnie wezmą do więzienia". Widziała przed sobą gołe ściany celi, a nie pomyślała, co ją czekać mogło w tłumie aresztowanych. Postrzegła starego księdza. „Bóg mi go posyła — pomyślała — Chleba, litości! Chleba dla moich dzieci!" — wyszeptała. Ksiądz dał jej dwa sous i poszedł śpiesznie dalej, ona pobiegła za nim. „Moje dziecię — rzekł, patrząc na nią łagodnie — my jesteśmy sami biedni i mamy naszych biednych". Dodał jej jeszcze dwa sous i powiedział: „To wszystko, co mam przy sobie i u siebie". Trafiła na księdza, który oddawał wszystko, co miał. Za te cztery sous kupiła chleba.

(Ciąg dalszy nastąpi).

lub 200 zł. rocznej pensyi. Nie dziwna więc rzecz, jeśli zderzają się na pocztach nadużycia, gdy „pensya“ przy najskromniejszych potrzebach nie wystarcza na suchy kawałek chleba.

Z toru wyścigowego. Wczoraj południu odbyła się na lwowskim torze cyklistów zapowiadana szumnie „Ghymkanah“. Publiczności było nie wiele. W wyścigu konia z rowerem zwyciężyła klacz „Pola“ p. Pieńczykowskiego. W wyścigu na rowerach bez siodeł p. Mianowski pokonał p. Aułyka, dalej w wyścigu „Omnium“ pp. Komoniewski i Pagat wyprzedzili pp. Menkola i Mianowskiego, którzy przybyli z wyrównaniem 20 metrów, zaś p. Aułyk z wyrównaniem 80 metrów. W zapasach atletów walne zwycięstwo nad przeciwnikiem odniósł p. Chomiński, w wyścigu tandemistów i nowicyuszów zwyciężył p. Komoniewski, zaś w powtórnym wyścigu konia z tamdemistami wygrał tandem pp. Komoniewskiego i Krupskiego.

Wyścigi wczorajsze były ostatniemi w tym sezonie. Niech nam będzie wolno przy tej sposobności zwrócić uwagę „lwowskiego klubu cyklistów“ na jego zamiłowanie do angielszczyzny. Skąd ono pochodzi i dlaczego Lwów koniecznie musi się niem kontentować, choć go nie podziela? Dlaczego nasz klub cyklistów przyjmuje rolę pawia pstrego, a pomija mowę miasta, w którem przebywa i wobec którego się produkuje. *Dziennik Polski* powiada, że wśród lwowskich cyklistów panuje nagminnie „angielska choroba“ i pisze: „Od pewnego czasu zakochali się oni tak w sportowej nomenklaturze z nad Tamizy, że człowiekowi urodzonemu nad Pełtwią ani daj Boże soryentować się w lesie „matchów“ i „handicapów“, jakie spotyka na każdorazowym programie wyścigowym. Przed kilku dniami lwowski klub cyklistów ogłosił plakatami, że 9 października odbędzie się na jego torze „ghymkanah“ (proszę ostrożnie wymawiać), przyczem loża będzie kosztowała 3 zlr., a „tykiet“ 1 zlr. *All right.* Publiczność łamała sobie języki na tajemniczej „ghymkanie“, a wczoraj dostała do rąk program, z którego dowiedziała się ku wielkiej swojej radości, że będzie miała zaszczyt oglądać *Great match cyclist, Flat running event, Three legged race, Sparkling clown-triks* i kilka innych niemniej wdzięcznych rzeczy“.

Zyjemy we Lwowie, a nie w Londynie, mamy tu Anglików i ludzi władających językiem angielskim chyba nie tak wielu, żeby urzędowy język wyścigowy był angielski, więc niech klub cyklistów przestanie stroić się napuszyście w cudze piórka, a pamiętając, z kim wchodzi w stosunki, posługuje się językiem polskim.

P. Józef Rylski, właściciel znanej pracowni krawieckiej we Lwowie, zamianowany został członkiem akademii przemysłowej w Paryżu i otrzymał od niej złoty medal.

Fatalne wyścigi. Na wyścigach oficerskich w Warszawie, odbytych w sobotę, zdarzyły się trzy fatalne wypadki. Oto chorąży Kwering z 21 pułku dragonów złamał obojczyk; pewien rotmistrz spadł z konia i został przezeń bardzo silnie przygnieciony do trybuny, wskutek czego utracił zupełnie przytomność i nie odzyskał jej jeszcze w szpitalu; wreszcie porucznika Szumskiego koń uderzył niebezpiecznie w głowę.

† **Dr. Władysław Wojciech Zajączkowski**, profesor politechniki lwowskiej i naczelny dyrektor gal. Kasy oszczędności, zmarł w sobotę dnia 8 bm. Był to jeden z najwybitniejszych obywateli lwowskich, biorący zarówno udział w życiu naukowem, jak i społecznem. Urodził się d. 12 kwietnia 1837 roku w Strzyżowie w Galicyi. Studya uniwersyteckie odbywał kolejno w Krakowie, Getyndze, Berlinie i Wiedniu, a w roku 1861 uzyskał stopień doktora filozofii. Zawód profesorski rozpoczął już w następnym roku, habilitując się jako docent prywatny matematyki w uniwersytecie jagiellońskim. W latach następnych był profesorem w Szkole głównej i w uniwersytecie warszawskim, a od roku 1872 w technice lwowskiej. W tymże roku mianowany został członkiem korespondentem, a w r. 1891 członkiem czynnym Akademii umiejętności w Krakowie. Przez dłuższy czas był zastępcą dyrektora galicyjskiej Kasy oszczędności, a w roku 1897 po śmierci ś. p. Aleksandra Jasińskiego, został wybrany naczelnym dyrektorem. Ogłosił drukiem liczne prace naukowe, z których znaczniejsze są: Geometrya analityczna, Warszawa 1884, Zasady algebry wyższej, Lwów, 1884 i Początki arytmetyki na I — IV kl. szkół średnich.

Obrzęd pogrzebowy odbędzie się dziś w poniedziałek o godzinie 3 po południu z domu żałoby przy ul. Sykstuskiej l. 46 na cmentarz Łyczakowski.

Konkurs. Grono Polek, które zawiązało się w komitet dla uczczenia pamięci twórcy Chorału, ogłasza konkurs na popularny życiorys Kornela Ujejskiego. Dziełko to ma obejmować od 2 — 4 arkuszy druku. Język i styl powinien odpowiadać dzisiejszemu poziomowi umysłowemu naszego ludu wiejskiego i miejskiego. Rękopisy i koperty zapieczętowane z nazwiskiem autorów, zaopatrzone w godła nadsyłać należy pod adresem p. Heleny Dybowskiej ul. Długosza 3. Termin nadsyłania prac 1 stycznia 1899. Nagroda 100 koron. Honoraryum od arkusza 30 koron. Na sędziów konkursu uproszono: pp. Maryę Konopnicką, Piotra Chmielowskiego i Jana Kasprowicza.

Ze Stowarzyszeń. Wydział Towarzystwa Bratniej Pomocy słuchaczy politechniki we Lwowie, przeznacza, zamiast wieńca na trumnę ś. p. Dra Władysława Zajączkowskiego, członka honorowego tego Towarzystwa, kwotę 10 złr. na „Szkołę ludową“. — W „Czytelni katolickiej“ rozpocznie się dnia 11 bm. sezon wieczorów wtorkowych inauguracyjnem zebraniem, które urozmaicą produkcye muzyczne i wokalne. Początek o godzinie 7 wieczór.

Trzeci kurs przygotowawczy do egzaminów wydziałowych, urządzony staraniem lwowskiego stowarzyszenia nauczycielek, rozpocznie się 15 bm. Z wykładów mogą korzystać także te panie, które nie mają zamiaru składać egzaminów nauczycielskich. Wpisy przyjmuje sekretarka Stowarzyszenia we wtorek i w piątek od godziny 5 — 6 wieczorem, w lokalu Stowarzyszenia. Rynek l. 10, I piętro.

Podziękowanie. Otrzymujemy następujące pismo: „Zarząd główny Towarzystwa Kółek rolniczych spełnia miły obowiązek, składając serdeczne podziękowanie członkom Komitetu przyjęcia uczestników Walnego zgromadzenia Kółek rolniczych, którzy w przygotowaniach i podczas samego zjazdu nie szczędzili czasu i trudów, by umożliwić przyjęcie przeszło 500 gości z różnych stron kraju. Stowarzyszeniom: „Gwiazda“, „Skała“ i „Jedność“ dziękujemy za udzieloną gościnę braciom z pod strzech włościańskich i łaskawe ich pod swój dach przyjęcie. Szczerą wdzięczność wyrażamy także Czytelni akademickiej, której członkowie oprowadzaniem włościan po mieście, pomocą przy wspólnych obiadach i kolacyach przyjęcie gości nam ułatwili. Przewielebnemu konwentowi OO. Dominikanów za bezpłatne udzielenie słomy na pościel, Szanownemu Akcyjnemu Towarzystwu browarów we Lwowie, WW. Panom J. Goetzowi w Okocimie i Zygmuntowi Jordanowi w Wojniczu za udzielone piwo. Szanownym fabrykom wódek w Izdebniku, Rabie wyżnej i Bolanowicach, oraz W. Panu Baczewskiemu we Lwowie za ofiarowane nam bezpłatnie wódki dla ugoszczenia uczestników Zgromadzenia, wyrażamy serdeczne podziękowanie“.

Wyjaśnienie. Otrzymujemy następujące pismo: W numerze 226 *Przeglądu* w dziale „Kronika“ pojawiła się notatka zatytułowana „z Uniwersytetu“ a tycząca się obsady katedry położnictwa i ginekologii w uniwersytecie lwowskim. Notatka ta, jak wiele już innych dotyczących Wydziału lekarskiego, nie przedstawia rzeczy we właściwem świetle i przedstawić jej nie mogła, gdyż w sprawach uniwersyteckich, będących jeszcze w toku, prasa nie otrzymuje autentycznych informacyi z powodu, że członków grona profesorów, które czyni propozycye w sprawie obsadzenia katedr, obowiązuje tajemnica urzędowa.

Z tego też powodu grono profesorów Wydziału lekarskiego nie mogło sprostować nietylko pierwszej notatki w czerwcu b. r. w tej sprawie ogłoszonej, lecz także innych przez prasę podawanych wiadomości, jakkolwiek nie odpowiadały one w zupełności istotnemu stanowi rzeczy. Obecnie, gdy nominacya profesora ginekologii i położnictwa jest faktem dokonanym, a więc tajemnica urzędowa już nas nie obowiązuje, i gdy znowu ukazała się notatka w tej sprawie niezupełnie zgodna ze stanem rzeczywistym, uważamy za nasz obowiązek oświadczyć co następuje:

1) Wydział lekarski uniwersytetu lwowskiego po kilkomiesięcznej poprzedniej przygotowawczej pracy, oceniwszy działalność i naukowe prace całego szeregu kandydatów, mogących wchodzić w rachubę przy obsadzaniu katedry położnictwa i ginekologii, przystąpił na posiedzeniu w dniu 30 marca br. do głosowania, którego wynik był następujący:

a) 5 głosów oświadczyło się za przedstawieniem Wysokiemu c. k. Ministerstwu oświaty do nominacyi prof. dra Marsa z Krakowa primo et unico loco;

b) 2 głosy za przedstawieniem prof. dra Marsa i dra Święcickiego z Poznania ex aequo primo loco, a dra Neugebauera z Warszawy secundo loco;

c) 2 głosy za przedstawieniem dra Święcickiego z Poznania primo et unico loco.

Kandydatem zatem większości Wydziału od początku był prof. dr. Mars z Krakowa.

2) Po powyższej uchwale Wydziału dr. H. Święcicki, który poprzednio zapytany przez Wydział, oświadczył był listownie, że katedrę tę gotów jest przyjąć w razie powołania go na nią, zmienił swoje postanowienie.

3) Jakkolwiek większość Wydziału nabyła to przekonanie, że prof. drowi Marsowi, ze względu na jego zasługi na polu badania naukowego i na dotychczasową działalność profesorską, należy przy obsadzaniu katedry dać pierwszeństwo przed wszystkimi innymi kandydatami, jednakże w sprawozdaniu do wysokiego c. k. Ministerstwa oświaty podniosła również pełne uznania zasługi naukowe dra H. Święcickiego, którego całe collegium umie cenić i szanować, jak niemniej uwydatniła zasługi innych kandydatów, którzy w rachubę wchodzili.

Lwów dnia 6 października 1898.

Prof. dr. Beck, prof. dr. Gluziński, prof. dr. Kadyi, prof. dr. Łukasiewicz, prof. dr. Niemiłowicz, prof. dr. Prus, prof. dr. Rydygier, prof. dr. Sobierański, prof. dr. Szymonowicz.

Zamieszczając to wyjaśnienie, dodajemy od siebie następującą uwagę: Tytuł naszej notatki „Z uniwersytetu“ nie oznaczał, że ona pochodzi ze sfer uniwersyteckich, lecz że dotyka spraw tej instytucyi. Co zaś do samego wyjaśnienia przysłanego nam przez grono profesorskie, to bardzo zadowoleni jesteśmy, że ono się pojawiło, bo nareszcie ustaną pogłoski, które w tej sprawie tak samo, jak my, notowały wszystkie pisma lwowskie.

P. Litwinowicz, były właściciel sklepu z przyborami do palenia, został wypuszczony na wolność. Aresztowanie jego nastąpiło wskutek nieporozumienia, czy też złośliwej denuncyacyi, on bowiem za zgodą swej kasyerki jeszcze w maju br., zamienił jej rewers kaucyjny na skrypt dłużny, płatny w dwóch latach. Sklepu nie zamknięto mu z urzędu, lecz on sam go zwinął, gdyż dłuższa choroba płuc, przyprawiła go o znaczne straty.

Towarzystwo wzaj. pomocy urzędników magistratu we Lwowie na odbytem wczoraj walnem zgromadzeniu wybrało przewodniczącym p. wiceprezydenta Ignacego Romanowskiego, zastępcą p. Józefa Jaworskiego, zaś jako członkowie weszli do wydziału pp.: Dr. Aleksander Czołowski, Tadeusz Danielski, Leon Dziubiński, Adam Iwanicki, Józef Kropiński, Bolesław Kołodziejski, Edmunt Lukas, Tadeusz Michalczewski, Eugeniusz Nowicki, poseł Jan Soleski, Kazimierz Strzelbicki i Antoni Tarnawiecki.

Na pomnik Mickiewicza we Lwowie wpłynęło według dziewiątej listy składek po dzień 8-my października ogółem 11.045 złr. 78 ct.

Cieszyńska „Macierz szkolna“ wykazuje w swem sprawozdaniu kasowem do końca września, że stan funduszu na utrzymanie gimnazyum wynosi 97.447 złr., stypendyjny dla biednych gimnazyastów 3.643 złr., na ochronkę polską w Cieszynie 154 złr., na polskie seminaryum nauczycielskie 347 złr., a na bursę im Mickiewicza 371 złr. 20 ct.

Uroczyste poświęcenie szkoły polskiej w Białej odbędzie się dnia 15 bm. Wystawiony budynek choć okazały i wygodny, już w roku przyszłym będzie za szczupłym. Wielki napływ uczniów (358 w 4 klasach) zmusił do otwarcia oddziałów równorzędnych w 2 klasach pierwszych, czego następstwem jest brak 2 sal szkolnych. Prócz tego nie jest jeszcze gotowe skrzydło, mające pomieścić sale gimnastyczną i rysunkową, bez których wzorowa szkoła (a taką być musi szkoła bialska) obejść się nie może. Przybliżony kosztorys pawilonu bocznego dla pomieszczenia sal pomienionych, wynosi około 20.000 złr., które Zarząd główny Towarzystwa szkoły ludowej zamierza zebrać w drodze publicznych składek.

Agitatorowie z zagranicy. Urzędowa *Wiener Abendpost* zamieszcza następujący nader ważny komunikat: „Ponieważ częstokroć zdarza się, że poddani obcych państw biorą udział w zgromadzeniach tu się odbywających, występują na nich jako mówcy i dają wyraz swemu nieprzyjaznemu dla państwa usposobieniu, przeto ministerstwo spraw wewnętrznych wydało do władz podlegających sobie rozporządzenie, aby względem takich osób postępowały z całą stanowczością w myśl §. 2 ustępu 5 ustawy z dnia 24 lipca 1871 Dz. u. p. nr. 88. To samo postępowanie ma być zastosowane przeciw obcym poddanym, choćby dopiero zamierzali się udać na zgromadzenie o politycznym charakterze, jeśli z ich dotychczasowego postępowania, z zachowania się i charakteru, ma się podstawę do obawy, że przez ich udział w zgromadzeniu wzmogłoby się wzburzenie i że przez to publiczny spokój byłby naruszony“.

Zacytowany ustęp §. 2 ustawy z r. 1871 postanawia, że cudzoziemców, jeżeliby ich działalność mogła się stać dla państwa szkodliwą, wolno wydalać za granicę i to albo z zabronieniem powrotu raz na zawsze, albo na czas ograniczony. Rozporządzenie to, jak się zdaje, wymierzone jest przeciw niemieckim pangermańskim szowinistom, którzy na zebrania w Austryi sprowadzają sobie Niemców z Rzeszy i przez ich mowy podniecają szowinizm niemiecki.

Kartel drzewny powstać ma w Galicyi. Oto pan Schmidt, właściciel Skolego opracował podobno statut towarzystwa kartelowego, które ma objąć wszystkich eksporterów drzewa za granicę i stara się o pozyskanie ich do swego związku. Natrafia jednak na trudności ze strony fachowców, którzy nowemu temu przedsiębiorstwu pana Schmidta nie rokują powodzenia.

Rusini-wyborcy a żydzi. W Kołomyi odbyło się ubiegłego tygodnia pod przewodnictwem posła Okuniewskiego zgromadzenie wyborców, na którem obradowano w sprawie opróżnionego przez ks. kanonika Gromnickiego mandatu poselskiego do Rady państwa. Uchwalono wezwać wyborców żydowskich, ażeby oni odtąd szli z Rusinami, „a nie z Polakami“, jakoteż, by w walce wyborczej bodaj biernem stanowiskiem dopomagali ruskim kandydatom do zwycięstwa. Zgromadzenie oświadczyło się przeciw kandydaturze dr. Dudykiewicza, a za kandydaturą dr. Michała Dorundiaka.

Konkurs dramatyczny rozpisany przez dyrekcyę teatru hr. Skarbka upłynął dnia 1 bm. Nadesłano nań dziewięć sztuk, a mianowicie: 1) „Rodzeństwo“ sztuka w 3 aktach, godło „St. A.“. 2) „W świetle i w cieniu“, sztuka w 4 odsłonach, godło: „Ave Caesar, morituri te salutant“, 3) „Wśród głazów“ dramat w 5 aktach, godło: „Concordia res parvae etc.“ 4) „Walczmy i zwyciężajmy samych siebie“, komedya w 4 aktach godło: „W imię idei do ostatniego tchu“, 5) „Kusicielka“, dramat w 4 aktach, godło: „Jaskółka“, 6) „Zbłąkane dusze“, dramat w 4 aktach, godło: „Pracą do doskonałości“, 7) „Kres“, dramat w 3 aktach, bez godła, 8) „Kochajmy się“, melodramat w 4 aktach, godło: „Usque ad finem“ i 9) „Mieszczanka“, dramat w 3 aktach, a 6 odsłonach, godło: „Mickiewicz w r. 1898 połączył we Lwowie młodzież wszystkich stanów, wyjąwszy jednego...“

Wynik konkursu ogłoszonym zostanie prawdopodobnie w drugiej połowie listopada.

Samobójstwo. Maksymilian Brückner 23-letni porucznik, przydzielony do 9 p. piechoty w Przemyślu, odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru dnia 28 b. m. w pomieszkaniu swej matki we Wiedniu. Powodem samobójstwa miała być nieuleczalna choroba i kara za zaniedbywanie się w obowiązkach.

Zmarli. We Lwowie Antoni Polański, legionista polski w kampanii węgierskiej, zecer, w 75 r. życia. W zawodzie drukarskim pracował lat 54, a przed kilkunastu jeszcze dniami kaszty nie opuszczał. W Litwinowie Helena z Jankowskich Szlachtowska, wdowa po ś. p. Feliksie, prezydencie m. Krakowa, lat 61.

Stan powietrza. T. o g. 8 rano + 5, w poł. + 8 R. Bar. 767. Podnosi się. Pochmurno.

Anons. Zginął piesek z zakręconym ogonkiem, do którego przywiązaną była bardzo chora osoba...

Dobra określenie miejsca.

— Gdzie jest teraz córeczka pani dobrodziejki?

— Za mężem, panie łaskawy.

Repertuar teatru hr. Skarbka. Dziś w poniedziałek „Pod białym koniem“, komedya w 3 aktach O. Blumenthala i G. Kadelburga. We wtorek „Pod białym koniem“. We środę „Pod białym koniem“. We czwartek „Szatani na ziemi“. W piątek pierwszy występ p. Gustawa Fiszera: „Chory z urojenia“, komedya w 3 aktach Moliera.

Panna Laura Leinwandówna, córka kupca tutejszego, zaręczyła się tymi dniami z panem drem S. Bandem, adwokatem krajowym we Lwowie.

SPORT.

Wyścigi gal. klubu jazdy panów w Krakowie.

W drugim dniu wyścigów t. j. 10 października odbyły się następujące biegi:

I Jesienne Steeple-chase. Nagroda honorowa, ofiarowana przez Jana hr. Tarnowskiego i 1200 koron, ofiarowane przez galicyjski klub jazdy panów, z których 900 koron zwycięzcy, 200 koron drugiemu, 100 koron trzeciemu koniowi. Nagroda honorowa jeźdźcowi zwycięzcy. Dla 4 l. i starszych koni wychowanych w Galicyi, Bukowinie albo Rosyi. Wygrały: 1 Rotm. Hip. Brzozowskiego „Helf Gott“. 2 Hr. Jerz. Moszyńskiego „Alarm“. Totalizator 5 : 8

II. Nagroda Zamku Łańcuckiego. Steeple-chase. Nagroda honorowa ofiarowana przez panią hr. Romanową Potocką i 1500 koron, ofiarowane przez austryacki Jockey-Club, z których 1000 koron zwycięzcy, 250 koron drugiemu, 150 koron trzeciemu, 100 koron czwartemu koniowi. Nagroda honorowa jeźdźcowi zwycięzcy. Meta 4800 m. Dla 4 l. i starszych koni wszystkich krajów. Wygrały: 1 Hr. Fel. Korytowskiego „Wiosna“. 2 Stadniny Ostoja-Ostaszewski „Licho“. Totalizator 5 : 6.

III. Nagroda rządowa. Steeple-chase. 1500 koron, ofiarowane przez ministerstwo rolnictwa zwycięzcy, nadto 300 koron, ofiarowane przez gal. klub jazdy panów, z których 200 koron drugiemu, 100 kor. trzeciemu koniowi. Dla 4 l. i starszych półkrwi ogierów i klaczy austro-węgierskich, które przed biegiem przez wyznaczoną komisyę oglądnięte i jako do chowu zdatne uznane zostały. Meta 4000 m. Wygrały: 1 Por. hr. E Thurn-Vallesassina „Kérdés“. 2 Rotm. hr. Józefa Koziebrodzkiego „Bohun“. 3 Por. hr. Fryd. Chorinskye'go „Sanoczanka“. Totalizator 5: 6.

IV. Nagroda totalizatora. Bieg z płotami. Nagroda honorowa, ofiarowana przez dawny resurs krakowski i 1200 koron, ofiarowane przez Towarzystwo międzynarodowe wyścigów konnych w Krakowie, z których 800 kor. zwycięzcy, 250 kor. drugiemu, 150 kor. trzeciemu koniowi. Nagroda honorowa jeźdźcowi zwycięzcy. Dla 3-letnich i starszych koni wszystkich krajów. Meta 3200 m. Wygrały: 1. Stad. Chorzelów „Cham“. 2. Rotm. Hipolita Brzozowskiego „Walküre“. 3. P. Wład. Fibicha „Znicz“. Totalizator 5 : 9.

V. Bieg pocieszenia z płotami. Nagroda honorowa, ofiarowana przez damy oficerów dywizyi kawaleryi i 1200 koron, ofiarowane przez galicyjski klub jazdy panów, z których 700 kor. zwycięzcy, 250 kor. drugiemu, 150 kor. trzeciemu, 100 kor. czwartemu koniowi. Nagroda honorowa jeźdźcowi zwycięzcy. Dla 3 letn. i starszych koni. Wygrały: 1. Por. Ant. Weilenbecka „Zapor“. 2. Por. bar. Teod. Korb-Weidenheima „Grobian“. 3. Stadniny Ostoja-Ostaszewski „La Marquise“. Totalizator 5 : 5.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 8 października.

(Z.) Z Berlina nadeszła dziś wiadomość wielce nieprzyjemna dla sfer giełdowych. Gotówka w eskoncie prywatnym jest tam już znacznie droższa niż w banku państwowym, wobec czego oczekują na pewno, że bank ten podwyższy już w poniedziałek urzędową stopę procentową, wynoszącą obecnie 4%. Owóż jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że za przykładem banku niemieckiego, pójdzie także bank austro-węgierski tem bardziej, że rezerwa banknotów wolnych od podatku została już przed kilku dniami zupełnie wyczerpana. Wogóle sfery giełdowe pomyliły się w tym roku zupełnie w swoich rachubach. Liczyły one na to, że miesiące jesienne przyniosą ze sobą niezwykłe ożywienie ruchu na kolejach i że z handlu zwłaszcza zbożowego dostanie się bardzo wiele gotówki na targ, tymczasem rolnicy nie chcą sprzedawać zboża, lecz czekają na lepsze ceny. To jest głównym powodem, dla którego wyczerpała się gotówka w centralnych instytucyach pieniężnych. Obawa podwyższenia eskontu wywołała dziś liczne sprzedaże spekulantów i niemal ogólną zniżkę kursów. Tylko alpiny i akcye kopalni węgla stanowiły wyjątek.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 352·60, węgierskie 380·50, Anglobanki 155·—, Uniony 292·25, Bankvereiny 261·—, Länderbanki 222·95, Ludwiki 210·25, Czerniowieckie 292·50, Elbethale 262·75, Renta papierowa 101·25, srebrna 101·20, austryacka złota 120·50, austr. renta wal. kor. 101·50, węgierska złota 119·90, węgierska renta wal. kor. 98·20, dukat 5·68, 20 frankówka 9·53—, marki 11·76, ruble 1·27—.

Ceny zboża. Wiedeń 8 października. Pszenica na jesień 9·29, na wiosnę 9·02; żyto na jesień 7·88, na wiosnę 7·68; owies na jesień 5·73, na wiosnę 6·02; kukurudza na październik 5·69, na maj-czerwiec 4·95. Spirytus 18.50, 18·80. (Przeciętna cena z całego tygodnia 19·05, 19·15).

Telegramy Przeglądu.

Petersburg 10 października. W tutejszych sferach dyplomatycznych opowiadają, że zainicyowana przez cara konferencya pokojowa odbędzie się prawdopodobnie w marcu przyszłego roku w Petersburgu.

Paryż 10 października. Delegaci amerykańscy postawili w kwestyi wysp Filipińskich następujące żądania: 1) miasto Manilla wraz z całą wyspą Luzon przechodzi na własność Stanów Zjednoczonych, 2) Hiszpania zrzeka się władzy zwierzchniczej nad resztą wysp Filipińskich, 3) Kwestyę umorzenia długów ciążących na Filipinach, rozstrzygnie sąd rozjemczy. Delegaci hiszpańscy telegrafowali do Madrytu po instrukcye, jak mają zachować się w obec tych żądań.

Londyn 10 października. Do *Daily Telegraph* donoszą z Petersburga, że pomimo uroczystych zaprzeczeń, dyplomacya rosyjska prowadzi rokowania o nabycie dla Rosyi stacyi węglowej nad morzem Czerwonem. Czy tą stacyą ma być Raheita, czy inna jaka miejscowość, to trzymane jest w jak największej tajemnicy.

Pall Mall Gazette donosi, że rokowania z Portugalią co do nabycia zatoki Delagoa w Afryce odroczono do przyszłego roku.

Wrocław 10 października. Na zgromadzeniu reprezentantów pruskich izb rolniczych uchwalono rezolucyę, sprzeciwiającą się stanowczo wszelkim ulgom przy imporcie bydła z zagranicy do Niemiec.

Paryż 10 października. Rochefort donosi w swem piśmie, że rząd cichaczem wydał już jak najdokładniejsze dyspozycye co do przewiezienia Dreyfusa do Francyi. Wedle tych dyspozycyi ma być Dreyfus wysadzony na ląd w samotnie stojącej forteczce Bayard naprzeciw wyspy Ré i trzymany tam dopóty, aż trybunał kassacyjny zażąda jego przesłuchania. Gdy to się stanie przewieziony zostanie Dreyfus do Paryża i osadzony w fortecy Mont Valerien.

Madryt 10 października. Dziennik urzędowy ogłosił konwencyę, zawartą między Hiszpanią a Francyą, zniżającą o 50 proc. taryfę za telegramy, przeznaczone dla dzienników.

Londyn 10 października. Do „biura Reutera“ donoszą z Pekinu, że Tsung-Li-Yamen założył protest przeciw temu, że oddział żołnierzy rosyjskich, sprowadzonych do Pekinu wrzekomo dla ochrony poselstwa, jest dwa razy silniejszy od oddziału angielskiego i niemieckiego.

Wiedeń 10 października. Ministrowie hr. Thun i dr. Kaizl, wyjechali do Pesztu. *Sonn- und Montags-Zeitung* donosi, że starać się oni będą uzyskać przedłużenie prowizoryum ugodowego przynajmniej na dalsze trzy miesiące i wyjednać niektóre zmiany przedłożeń ugodowych.

Praga 10 października. Wczoraj odbyło się tu kilku zgromadzeń socyalistycznych, na których napadano namiętnie na młodoczechów za to, że popierają ugodę z Węgrami.

Calcutta 10 października. Urzędownie ogłoszono miasto tutejsze jako wolne od dżumy. Od dziesięciu dni nie zdarzył się tu ani jeden wypadek tej epidemii.

Londyn 10 października. Dziś ogłoszono korespondencyę dyplomatyczną między Anglią i Francyą w kwestyi górnego Nilu.

Oświadczenia Anglii, trzymane w tonie energicznym, wyrażają przekonanie, że Faszoda należy do zwycięzców nad derwiszami.

Berlin 10 października. Cesarz Wilhelm pragnąc osobiście otworzyć pierwszą sesyę nowego parlamentu, postanowił skrócić swą podróż na Wschód i zaniechać obliczonej na trzy tygodnie podróży po Egipcie. Z Palestyny uda się cesarz wprost do ojczyzny i przybędzie tu w drugiej połowie listopada.

Konstantynopol 10 października. Tutejszy patryarcha ormiański otrzymał z pałacu sułtańskiego pismo, w którem polecono mu czuwać nad tem, ażeby Ormianie podczas pobytu Wilhelma II w Turcyi zachowywali się spokojnie.

Palermo 10 października. Między robotnikami górniczymi na Sycylii panuje ogromne wzburzenie, gdyż właściciele kopalń siarki nie chcą płacić za swych robotników wkładek do kasy chorych i ubezpieczenia na starość i grożą, że raczej zamkną swe kopalnie, aniżeli zdecydują się na ponoszenie tego ciężaru.

Paryż 10 października. Syndykat urzędników kolejowych zachowuje się dotychczas z wielką rezerwą w obec strejku powszechnego, ale centralny organ strejku ma nadzieję, że i ten syndykat przyłączy się do tego ruchu. — Natomiast urzędnicy omnibusów zapewne odrzucą propozycyę przyłączenia się do strejku, a nieprawdopodobną jest także rzeczą, aby kolejowi robotnicy wzięli w nim udział. Prezydent ich syndykatu Guerard dotychczas stanowczo przeciwny jest strejkowi.

Figaro donosi, że rozdawanie zapomóg strejkującym wywołało już niezadowolenie w niektórych kołach robotniczych i to może być powodem rozdwojenia i porzucenia strejku przez wielu biorących w nim udział. Niezadowoleni bowiem skarżą się, że inni strejkujący dostają więcej od nich i robią ich kosztem interesa na strejku.

Londyn 10 października. Dzienniki tutejsze z zadowoleniem witają okoliczność, iż w kwestyi Faszody zajął Salisbury energiczne stanowisko. Piszą one, że w tej sprawie może Salisbury być pewnym jednomyślnego poparcia całego narodu, gdyż Anglia nie może nic opuścić ze swych żądań.

Aleksandrya 10 października. Odpłynął stąd wczoraj okręt „Jalunga“ i powiózł na Kretę dwa bataliony angielskich strzelców Lancashire.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na się na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów 10 października. (Z izby handlowej). [illegible]

84)

O własnych siłach

POWIEŚĆ

przez

D. GERARD.

Tłómaczyła z angielskiego Zofia baronowa Hartingh.

(Ciąg dalszy).

Cały wieczór czyhał też na sposobność znalezienia się z nią sam na sam. Teraz nieodstępna pani Byrd uwolniła go od swojej obecności, pozostawała jeszcze Flora, trzymająca się w pobliżu Elwiry i wahająca się, jak zawsze, czy usiąść obok niej na beczce lub nie, ale o tą nie troszczył się wcale. Wiedział iż taką władzę posiadał nad tą kobietą, że nawet kosztem najsroższej męki nie ośmieli się ona sprzeciwiać jego woli.

Szal lady Nevyll, targany wiatrem opadał co chwila z jej szczupłych ramion, a kaszel coraz dokuczliwszy rozrywał jej piersi. Pan Rockingham, zimny i grzeczny jak zawsze, podszedł do niej pod pozorem przyjścia jej w pomocy i otulając ją w fałdy pledu, szepnął cicho i rozkazująco:

— Zostaw mnie z nią samą.

— Dokądże mam iść? — zbielałemi, trzęsącemi usty spytała Flora.

Pan Rockingham zniecierpliwiony omało co nie powiedział: Idź choćby do dyabła... lecz opamiętał się o tyle, że rzekł po cichu:

— Idź do pani Byrd. Chcę zostać sam na sam z nią. Rozumiesz?

Spojrzała na niego błagalnie, rozpaczliwie, wijąc się w bolu wewnętrznej męki, ale w twarzy jego zimnej jak głaz i nieubłaganej nie dostrzegła śladu litości, ani cienia nadziei dla siebie. Oczy jego, skierowane ku tamtej, nie spotkały się nawet z jej wzrokiem. Bez słowa skargi odwróciła się od niego, zbolała, wzgardzona, odepchnięta i zapadła się w ciemności nocy, czując, że ten zielony obszar ziemi, po którym stąpa, chwieje się pod jej nogami, rozumiejąc dokładnie, co się ma stać za chwilę, zdając sobie nawet sprawę z tego, że ona nawet w pewnej mierze dopomaga do tego; ale czuła się tak obumarłą, tak wyczerpaną do ostatka, że nie miała nawet siły podnieść ręki, aby odwrócić ten cios śmiertelny, który godził w samo jej serce.

Nie poszła w stronę pani Byrd; obrała wręcz przeciwny kierunek.

Pan Rockingham rad, że się jej pozbył, nie zwrócił na to uwagi. Mroki zresztą były już teraz tak gęste, że spowiły w czerni oddalającą się samotną postać.

— Gdześ pan zrobił z moją kuzynką? — zagadnęła Elwira zdziwiona, że ambasador powraca sam. Ona także, jak Flora, przeczuła, że zbliża się krytyczna chwila, którą już raz, na lodowym balu, udało jej się szczęśliwie odwrócić. Zadając to pytanie, patrzyła w dal, czy nie zjawi się jaka trzecia, pożądana osoba, której obecność przeszkodziłaby poufnej rozmowie i zażegnała grożące niebezpieczeństwo. Jednocześnie w pewnem oddaleniu spostrzegła czarną postać, oddalającą się na tle cieni. Postać ta zwolna wspinała się na groblę, zasuwając się coraz bardziej w mroki. Dokoła niej powiewały fałdy szala. Mogłaż to być Flora? I po co ona szła tam na górę?

Ale zanim Elwira mogła zastanowić się nad tem, zanim pan Rockingham zdołał jedno słowo przemówić, zdarzyło się coś nadzwyczajnego, bo nagle pan Bolt zerwał się na równe nogi, przewracając beczkę w pośpiechu i głosem najwyższego przerażenia krzyknął:

— Grobla!

Elwira i wszyscy spojrzeli w tę stronę i spostrzegli o jakie cztery stopy od niedokończonego nasypu strumień wody, objętości męskiego ramienia, wytryskujący nagle z pod ziemi.

Krzyki rozległy się dokoła i kilkunastu robotników, którzy na szczęście nie odeszli jeszcze, rzuciło się na miejsce wypadku, ubijając z całych sił ziemię nogami, aby zatkać ziejący otwór. Wróg widocznie nie dawał dotąd za wygraną. Jeszcze kilka chwil, a nowy nasyp zostanie doszczętnie zrujnowany.

W pierwszym przestrachu Elwira zerwała się z siedzenia. Z zapartym w piersiach oddechem śledziła bezładne ruchy zbiegowiska dokoła zagrożonego miejsca, gdy nagle podniosła szybko w górę głowę, nasłuchując pilnie. Byłże to krzyk, który się obił o jej uszy? A może jej się tylko zdawało... mogła się omylić. Szum wiatru, łoskot wody, nawoływania robotników, wszystko to zlewało się w jeden hałas, wśród którego trudno było rozróżnić jakiś dźwięk odosobniony. Ale nie... słyszy go znowu, wyraźnie tym razem, niesiony na skrzydłach wichru. To krzyk, krzyk kobiety, wołającej o pomoc! Cóż to za szalona myśl strzeliła jej do głowy? Dlaczego tak nagle z przerażonem okiem bada blade niebo, wyłaniające się z nad szczytu grobli? Postać, którą widziała rysującą się tam przed chwilą, zniknęła. Zmieniona twarz Flory z tym dziwnym wyrazem skamieniałego bólu staje jej nagle przed oczyma; dziwne zapytanie Flory dźwięczy jej w uszach: „Czy sądzisz, że można by się utopić w jednym z tych otworów?"

W błyskawicznem mgnieniu oka wszystko to przebiega przez jej myśl. Elwira zrywa się i z szybkością strzały pędzi na miejsce, skąd krzyki dolatują coraz słabsze i cichsze.

ROZDZIAŁ XVI.

Zanim dotarła na miejsce, wołania o pomoc prawie że już ucichły, tak, że nie była nawet pewną, czy pokierowały one nią dobrze. Kiedy tchu pozbawiona, z pulsami bijącemi jakby młotem, stanęła nad zasypanym dnia poprzedniego otworem, nie dostrzegła nigdzie śladów życia.

Pomimo całego natężenia wzroku w wodnej przestrzeni rozpostartej dołem, nie mogła nic dojrzeć, oprócz ruchu i kołysania spienionych bałwanów. Już chciała biedz wzdłuż nasypu, kiedy naraz woda zakłębiła się wyraźnie nie dalej jak o jakie sześć kroków od brzegu, tuż pod wzniesieniem, na którem stała i coś czarnego poruszyło się wśród fal. Już nie krzyk tym razem, ale długi, przeciągły jęk rozległ się wśród nocy.

— W jednej chwili Elwira odzyskała całą przytomność umysłu. Wobec grożącego niebezpieczeństwa rozpierzchłe jej myśli uporządkowały się raptownie. Stała ona na miejscu, które jeszcze dnia poprzedniego było szczeliną w grobli, gdzie wprost naprzeciw niej znajdowała się tak zwana technicznie „rynna", czyli sadzawka, obejmująca jakie sto yardów przestrzeni, a głęboka przypuszczalnie na jakie 8 stóp w obecnej chwili. Nie było podobieństwa dosięgnąć z brzegu tego czarnego przedmiotu, kołysanego falami; nie mogła też rzucić się w pław, bo nie umiała pływać. Czółna, które oko jej dostrzegło zdala, były jedynym sposobem ratunku, ale nie dotykały brzegu.

— Mogłabym dostać się do nich przez płytką wodę — rzekła sama do siebie. — U podnóża starego nasypu, w tamtej stronie, gdzie stoją czółna, woda nie może być głęboka. Żebym tylko mogła odczepić jedno z nich. Musi być przytwierdzone sznurem albo łańcuchem.

Rzuciła się naprzód do pobliskiego miejsca, gdzie stary nasyp łączył się z nowym, a biegnąc, wołała na cały głos:

— Idę, idę na twój ratunek! — aby podtrzymać odwagę walczącej ze śmiercią kobiety.

Tak, wykalkulowała dokładnie. Woda w tem miejscu nie dosięgała jej kolan, choć ze względu na bezustanne kołysanie bałwanów trudno jej było utrzymać równowagę. Silną dłonią uchwyciła brzeg najbliższego czółna, ale w tejże chwili wymiarkowała, że żadną miarą nie potrafi go poruszyć z miejsca; choć bowiem chwiało się ono na powierzchni wód, ale spód jego zarył się w piasek. Wszystko więc było stracone... nie... nie jeszcze. Tuż obok przytwierdzone sznurem do ciężkiej łodzi, kołysało się maleńkie, lekkie jak piórko rybackie czółenko, używane zwykle w czasie pogody.

Wskoczyła w nie bez namysłu.

Och! żeby rozwiązać ten węzeł! Zdarła z rąk rękawiczki, mocując się ze sznurem. Jakże błogosławiła w tej chwili temu nawyknieniu do ręcznej pracy, która tyle siły wyrobiła w jej muskułach! Już czółenko ruszyło z miejsca, kiedy spostrzegła parę żerdzi, leżących na dnie wielkiej łodzi. Pochyliwszy się całem ciałem naprzód, schwyciła jedną z nich w chwili, gdy cofający się prąd wody już ją porywał w przeciwną stronę.

Nie miała pojęcia o wiosłowaniu, ale chylając się przez brzeg czółna i żerdzią rając się o spód, udało jej się nareszcie po wielu rozpaczliwych wysiłkach dotrzeć do miejsca, gdzie czarna postać słabe jeszcze ruchy robiła rękami po nad wodą.

Elwira puściła żerdź i schwyciwszy tonącą się za ramiona, usiłowała wciągnąć ją do czółna; wymiarkowała jednak, że byłaby to daremna strata sił i czasu i że czółno lada chwila przewróci się z nią razem. Biedna Flora była lekką, ale przesiąkłe wodą suknie jej wisiały dokoła niej ołowianym ciężarem. Naprężywszy ramiona Elwira trzymała w nich, jak w żelaznych kleszczach, nieszczęsną, szamocącą się ofiarę własnej lekkomyślności, podczas kiedy zdrowemi, młodemi płucami wołała z całych sił ratunku. (C. d. n.).

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. — Papier z fabryki Fijałkowskich w Białej. — Drukarnia Narodowa Stanisław Maniecki i Spółka. Hotel George'a.